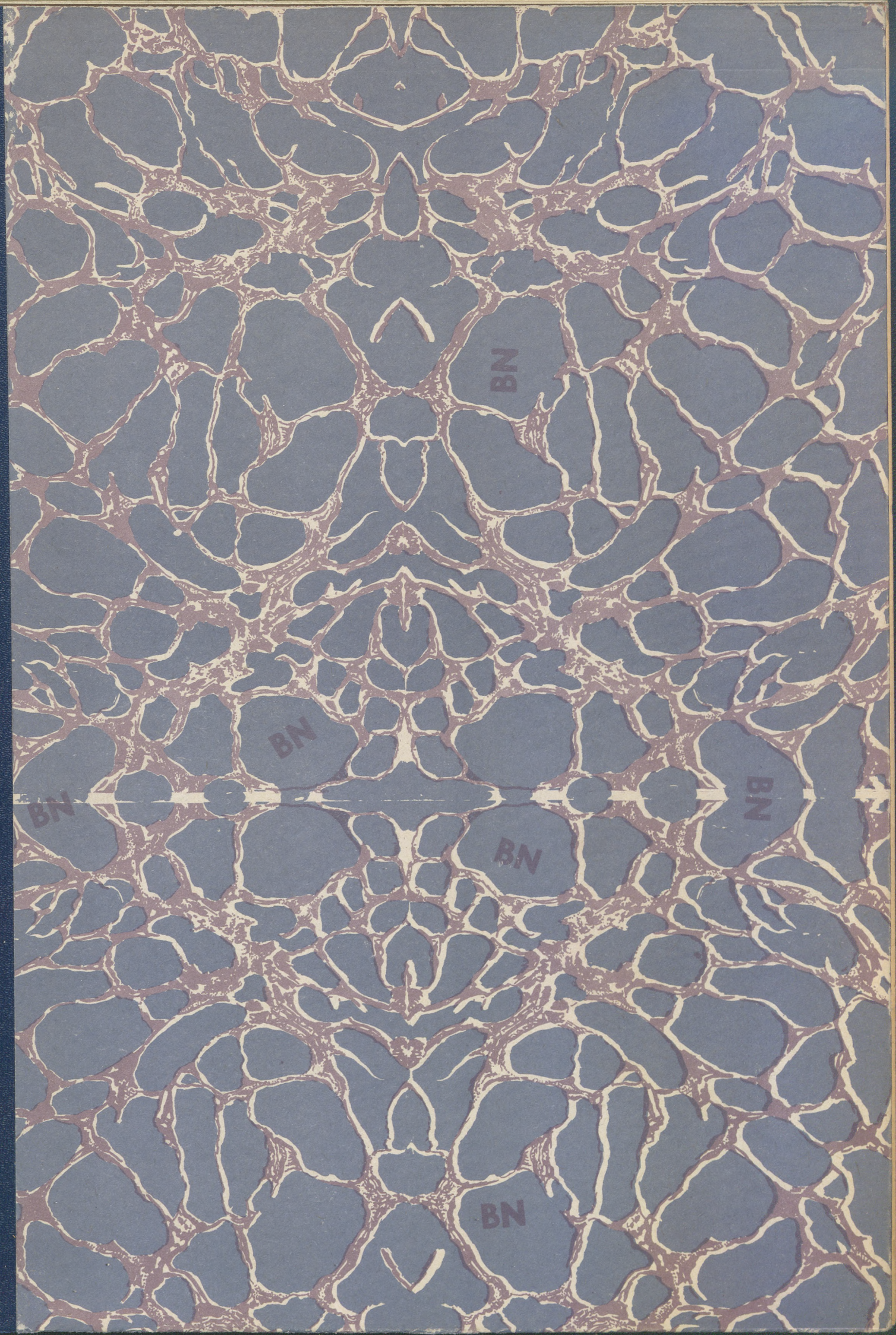


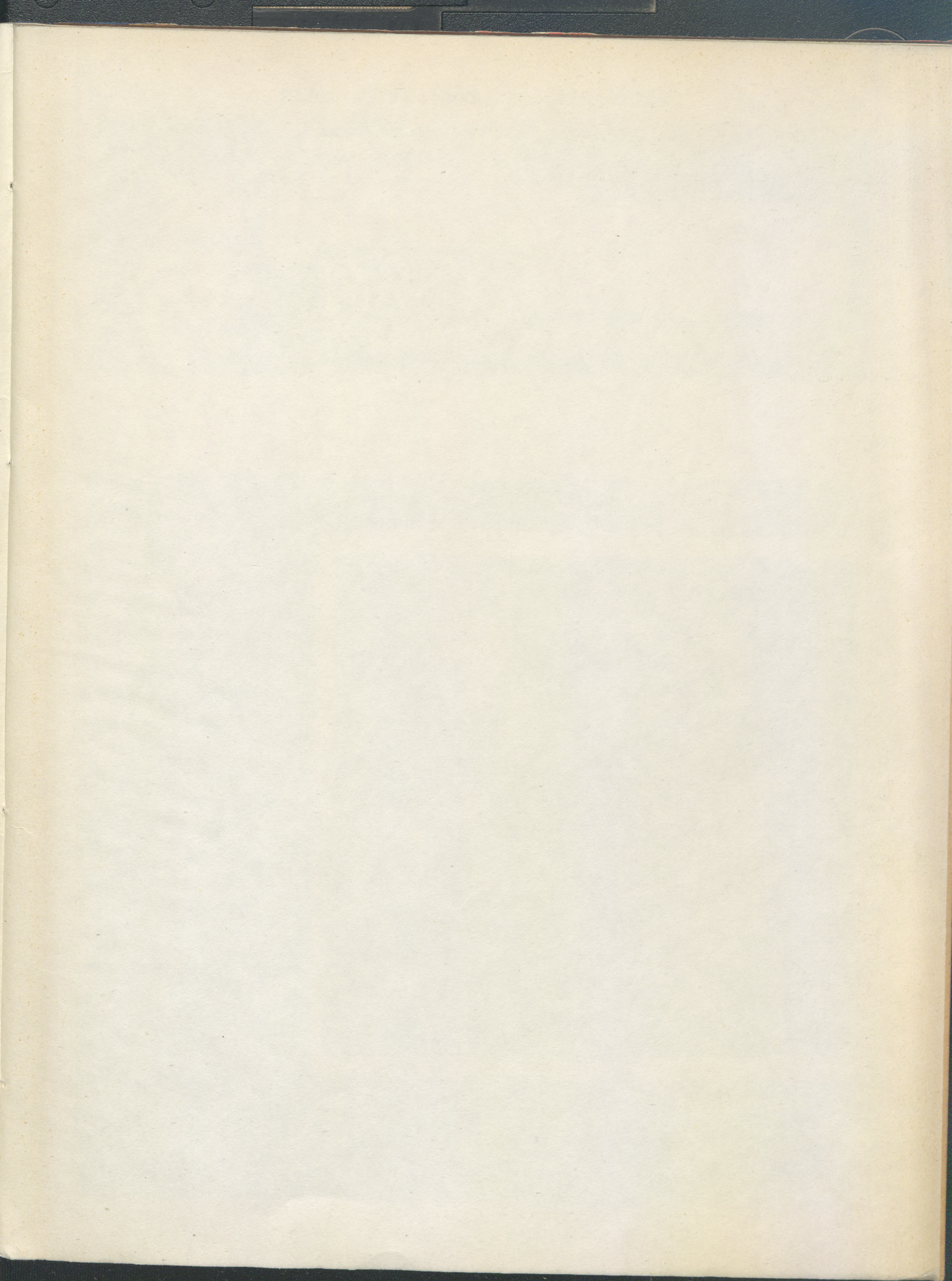
27

623405





This page is blank and contains no text.



III. 623.405/27

Nr. 27.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

HOTEL EMIGRANTÓW



WYDAWCA
WARSZAWA



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Hotel emigrantów

Powrót z Ameryki

Ekspres z Liverpoolu wpadł ze zgrzytem na dworzec Victoria w Londynie. Na jasno oświetlonym peronie falowały tłumy, czekające na przyjazd pociągu. Liverpool jest bowiem największym angielskim portem, do którego zawijają okręty z Indyj i Ameryki.

Po hali dworcowej spacerowała w towarzystwie starego lokaja młoda dziewczyna, której zachowanie się zdradzało, że z niecierpliwością kogoś oczekiwała. Od czasu do czasu zwracała się do siwego towarzysza, pytając:

— Czy jeszcze nie ma tego pociągu? Nie nadchodzi?

Jeszcze nie, panno Floro. Rozumiem pani niecierpliwienie. I moje serce bije niespokojnie na myśl, że za chwilę ujrzę naszego drogiego Artura!

— Prawda, Danielu, że i ty go kochałeś? Mam wrażenie, że byłeś nawet po jego stronie w tym konflikcie z ojcem, który zakończył się jego wyjazdem w dalekie kraje.

— Mój Boże! Mr Artur nie popełnił znów nic tak strasznego, ale nie można również winić mr. Titchburna. W rodzinie to się zdarza... Kłóca się, a potem przepraszają...

Ale najsmutniejsze jest to, że ojciec zmarł podczas nieobecności Artura...

— A czy to prawda, Danielu, że jedynym powodem tej śmierci była głęboka miłość Artura do tej młodej, biednej dziewczyny?...

— Tak jestem tego pewny, panno Floro.

— Czy znałeś ją?

— Oczywiście. Nelly, córka naszego ogrodnika, jest istotą tak czarującą, że nie dziwie się naszemu młodemu panu, że stracił dla niej głowę. Ona również była bardzo nim zajęta. Nic dziwnego, gdyż nie ma prawdopodobnie w całym Londynie drugiego, tak ładnego chłopca, jak panicz Artur.

— Jest pociąg! — krzyknęła radośnie Flora. Ale czy my go poznamy, Danielu? Musiał się chyba zmienić w tej Ameryce!

— O... na pewno, panno Floro! Minęło już bowiem dziewięć lat! Kiedy wyjeżdżał był zaledwie dwudziestoletnim smarkaczem. A teraz to jest mężczyzna w sile wieku. Czy nie pisał, że będzie miał jakiś znak rozpoznawczy?

— Oczywiście, zapomniałam o tym... Ma trzymać w ręce tę samą żółtą walizkę, którą zabrał ze sobą przed dziewięć laty.

— Oto on! — krzyknął stary lokaj. — Ten, z tą jasną walizką! Boże, jak on urósł i zmeźniał. Chodźmy, panno Floro, chodźmy! Jest pani brat.

Flora rzuciła się z wyciągniętymi ramionami w kierunku młodego, przystojnego mężczyzny, który wysiadł z przedziału pierwszej klasy i rozglądał się dokoła, jakby kogoś szukał.

— Arturze! — zawołała dziewczyna, obejmując go i całując. — Nie poznajesz mnie?... Jestem Floro, twoja siostra.

Opalona twarz przybysza rozjaśnił uśmiech radości i prawie triumfu. Przycisnął do siebie młodą dziewczynę i ucałował jej zaróżowione radością policzki. Później cofnął się nieco i przyjrzał z podziwem.

— Ale wyrosłaś i wyładniałaś, moja mała siostrzyczko! Kiedy wyjeżdżałem, byłaś jeszcze dzieckiem... Miałaś wtedy zaledwie dziesięć lat!...

Nie możesz sobie nawet wyobrazić, ile radości mi to sprawia! Tyle lat byłem sam wśród obcych...

— Nie przywitasz się ze starym Danielem?

— Prawda, to jest przecież Daniel! — krzyknął młody mężczyzna, wyciągając ręce do starszaka. — Nie byłbym go poznał! Osiwiał zupełnie! Ale trzymaj się jeszcze krzepko, prawda?

Niech cię uściskę, drogi przyjacielu. A teraz chodźmy do domu! Śpieszno mi ujrzeć dom, w którym spędziłem całe moje dzieciństwo! Ogarnia mnie jednak smutek na myśl, że nie ujrzę już więcej drogiego ojca, któremu sprawiłem tyle zmartwień.

— Jego ostatnie myśli poświęcone były tobie, Arturze! — rzekła Flora ze łzami w oczach. — Wzywał cię... chciał cię mieć przy sobie... Kiedy zrozumiał, że już jest za późno, uściskał moją rękę i rzekł:

— Powiedz mu, Floro, że zostawiam mu swoje błogosławieństwo i przebaczam mu...

Artur zasłonił dłonią oczy... Po chwili oparował się jednak i rzekł:

— Pójdę na grób ojca i poproszę go jeszcze raz o przebaczenie... Spróbuję szczerą skruchą odkupić dawne winy. Podaj mi ramię, Floro. Czy wóz na nas czeka?



III 623.405/27

— Oczywiście, odparł Daniel. Za chwilę ujrzysz pan starego szofera Mac Dowella. Wcale się nie zmienił od czasu, jak pan wyjechał. Został tym samym starym gadułą...

— Pamiętam go doskonale. Szorstki, mrukiwy na pozór, ale w gruncie rzeczy złote serce! Chodźmy szybko, siostrzyczko!

W kilka minut później wspaniała maszyna wiozła ich w stronę Kensingtonroad. Flora trzymała ręce brata w swoich dłoniach. Była szczęśliwa!

Po śmierci ojca została sama jedna na świecie. Matki wcale nie знаła, gdyż osierociła ją zaraz po wydaniu jej na świat.

Teraz niebo zsyłało jej przyjaciela i obrońcę w osobie ukochanego brata.

— Opowiedz mi, Arturze, jak ci się wiodło w Ameryce? Przed rokiem otrzymaliśmy od ciebie krótki list, ale poza tym nie dawałeś o sobie żadnego znaku życia.

— Kochanie moje, nie pisałem dlatego, że nie miałem dla was żadnych pomyślnych wieści.

— Czy to prawda, że byłeś poszukiwaczem złota?

— Tak, moja droga.

— A czy znalazłeś złoto?

— Nie, siostrzyczko. Jest to trudne i niepewne zajęcie. Dostarczałem tylko prowiantów poszukiwaczom złota. Nie zbilłem na tym fortuny, ale dorobiłem się okrągłej sumki. Zresztą teraz i tak się wszystko zmieniło... Powiedz mi, Floro, jak wielkie jest nasze dziedzictwo?

W pierwszej chwili pytanie to sprawiło przykrość młodej dziewczynie. Po zastanowieniu jednak uznała je za zupełnie naturalne.

— Interesy ojca bardzo się ostatnio polepszyły. Bank Titchburna jest jednym z najbogatszych i najlepiej prosperujących w całym Londynie.

Mam nadzieję, kochany braciszku, że pod twoim kierownictwem zwiększy jeszcze swoje obroty.

— Będę się starał nie zawieść twego zaufania.

— Majątek, który nam ojciec pozostawił wynosi, o ile cię to interesuje, około 200 tysięcy funtów szterlingów.

— Połowa należy do ciebie, kochanie. Jestem pewny, że niedługo wybierzesz sobie odpowiedniego męża. A może już masz kogo?

Flora zaczerwieniła się gwałtownie. Opuściła powieki i wyszeptala coś niewyraźnie.

— Oho! Widzę, że ktoś tam już zdobył to małe serduszko. Pewnie jakiś lord... Za nic w świecie nie pozwoliłbym ci z twoją urodą i majątkiem, zrobić nieodpowiedniej partii.

Słyszac te słowa, dziewczyna zadrżała. Nie odpowiedziała nic, gdyż w tym momencie auto zatrzymało się przed domem na Kensingtonroad.

Artur wyskoczył pierwszy i pomógł siostrze przy wysiadaniu.

W chwili, gdy przechodził przez chodnik, wpadł na skromnie ubraną kobietę, która usiłowała prześlizgnąć się między nim a murem.

— Przepraszam bardzo! — zawołał młody człowiek, uchyłając kapelusza.

Młoda kobieta zbladła, jakby zobaczyła upióra.

— Artur! Artur! — szepnęła.

Ale Titchburn poszedł dalej, nie słyszac tego cichego wołania. Znajdował się już wraz z siostrą w hallu swego domu, pięknie udekorowanego kwiatami na jego przyjęcie.

Kobieta na ulicy znieruchomiała i przycisnąwszy reke do serca oddychała z trudem. Po chwili, z pochyloną głową, poszła powoli naprzód.

Stary Daniel spojrział na nią ze smutkiem.

— To przecież ona... Nelly, córka ogrodnika. Boże... on nie poznał jej nawet.

Stenotypistka

W gabinecie Harry Dicksona słycać było jednostajny terkot maszyny do pisania. Młoda, śliczna dziewczyna niezmordowanie uderzała palcami w klawisze, podczas, gdy Harry Dickson, zagłębiony w fotelu, dyktował jej jakiś dłuższy elaborat.

— A teraz odpoczniemy chwilę, miss Nelly — rzekł detektyw. — Paluszki odmawiają już zapewne posłuszeństwa...

— Nie jestem wcale zmęczona — odparła dziewczyna. — Jeżeli pan sobie życzy, możemy dalej pracować.

— Myślę, że na dzisiaj dosyć... Czy wie pani, miss Nelly, jestem zachwycony tym wynalazkiem... tą maszyną do pisania. Dotychczas musiałem sam całymi wieczorami pisać swoje pamiętniki. Mam, niestety, tak nieczytelne pismo, że tylko ja sam mogłem je odcyfrować. Przychodzi pani do mnie dwa razy w tygodniu i w przeciągu kilku godzin odrabiamy całą robotę. W ten sposób z łatwością mogę uwiecznić swoje wspomnienia. Jestem pani naprawdę wdzięczny, miss Nelly.

— To ja powinnam panu dziękować, mr Dickson... Nie tylko zarabiam dzięki panu, utrzymując siebie i matkę, ale równocześnie poznaję treść pamiętników najsłynniejszego detektywa świata.

— Miss Nelly, posiada pani dwie wielkie zalety i dlatego tak bardzo panią cenię. Przede wszystkim jest pani pierwszorzędną urzędniczką, a poza tym posiada pani cechę bardzo rzadką u kobiet: potrafi pani milczeć...

— Czy nie przyrzekłam tego, mr. Dickson? Pan mnie zmusił prawie do przysięgi.

— Nie mówmy już o tym. Czy mogę zadać pani pytanie, które mnie gnębi dziś cały dzień? Dlaczego pani tak smutna?

— Ja? Smutna? Ależ, mr Dickson, jestem dziś taka, jak zawsze...

— Chce pani udawać przede mną, przed detektywem? Czytam w pani twarzy, że miała pani jakieś bardzo smutne przeżycie. Czy matka pani jest zdrowa?

— Serdecznie panu dziękuję za zainteresowanie... Matka ma się doskonale.

— Dlaczego więc płakała pani tej nocy?

— Płakałam? Ależ nie... pan się myli...

— Czy pani wie, miss Nelly, że nie potrafi pani klamać? Otóż to! Spuściła pani głowę i milczy! No, proszę się zwierzyć!... Co się pani przydarzyło?

— Ach, mr Dickson, musiałabym panu opowiedzieć bardzo długą i bardzo smutną historię!

— Muszę się przyznać, że nie bardzo to lubię, gdyż zamęczają mnie takimi opowieściami moi klienci. Ale jeżeli o panią chodzi, chętnie uzbroje się w cierpliwość. Proszę mówić, miss Nelly.

— Kiedy przyjął mnie pan do siebie — zaczęła młoda dziewczyna ze wzruszeniem, miał pan tyle taktu, że nie pytał mnie pan o przeszłość.

— Ponieważ znałem ją — odparł z uśmiechem detektyw. Czy wydaje się to pani możliwe, aby Harry Dickson przyjął na sekretarkę osobę obcą, o której nic nie wie? Zasięgałem o pani informacwi i otrzymałem jak najlepsze.

— Co pan wie o mnie, mr Dickson?

— Wiem, że jest pani tak samo czarująca, jak i wartościowa. Pani ojciec był ogrodnikiem u wielkiego bankiera Titchburna. Jego syn pokochał panią, a pani podzieliła jego uczucia. Ale, jak to się zwykle zdarza, bankier nie chciał się zgodzić na ten związek. Marzył o wspanialszej partii dla swego syna. Wybuchła między nimi gwałtowna sprzeczka, w rezultacie której młody Titchburn wyjechał do Ameryki. Bankier wylał całą swą złość i oburzenie na biednym ojcu pani i wyrzucił go formalnie na bruk z całą rodziną. Biedak nie mógł tego przeżyć.

Matka pani, nie mając środków do życia, została praczką. Pani zaś wykazała tyle energii i pracowitości, że uwolniła tę biedną kobietę od pracy ponad siły.

— Nie wiedziałam, że pan wie o wszystkim — zawołała dziewczyna ze łzami w oczach. Dodam jeszcze kilka szczegółów, które wyjaśnia panu przyczynę mojego smutku.

Kiedy Artur odjeżdżał, przyrzekł, że będzie pisać regularnie. Przysiągł, że nigdy o mnie nie zapomni, i jak tylko zdobędzie jakiegokolwiek stanowisko w Ameryce, sprowadzi mnie do siebie.

— Ale, oczywiście, nie dotrzymał słowa...

— Dlaczego uważa pan to za zupełnie naturalne?...

— Miłość młodych ludzi przemija bardzo szybko...

— Ale nie u Artura — przerwała Nelly — znalazłam go dobrze. Brak wiadomości od niego nasuwał mi smutne przypuszczenia. Obawiałam się, że umarł... To trwało aż do wczoraj... A wczoraj... Wolałabym, gdyby się tak stało naprawdę...

Harry Dickson spjrzał na dziewczynę ze zdumieniem.

— Cóż takiego wczoraj się zdarzyło?

— Ujrzałam Artura Titchburna!

— A więc wrócił?

— Tak jest. Wracając z pracy, obrałam sobie drogę przez Kensingtonroad. Było późno i ściemniało się. W pewnej chwili potrafił mnie jakiś mężczyzna. Poznałam go od razu i zawołałam go po imieniu. Ale on... — tu Nelly nie mogła powstrzymać potoku łez — ...on przeszedł obok i wcale mnie nie poznał...

Spjrzał na mnie tak, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

— Biedne dziecko! Przeżyłaś moment strasznie rozczarowania! — rzekł ze współczuciem detektyw. — Ale nie martw się, Nelly! Jesteś młoda i ładna i łatwo ci będzie znaleźć człowieka, który potrafi ocenić wszystkie twoje zalety. Zapomnij o Arturze Titchburnie. Widocznie nie wart twojej miłości, jeżeli mógł postąpić w ten sposób.

— Zapomnieć!... Och, to nie tak łatwo! Wątpię, czy kiedykolwiek potrafię zapomnieć Artura! W każdym razie jedno jest pewne, a mianowicie to, że nigdy nie będę należała do innego mężczyzny!

Proszę mi wybaczyć, mr Dickson, że nie mogę zapanować nad sobą, ale teraz życie straciło dla mnie wszelką wartość. Jeżeli pan pozwoli, zakończymy dziś naszą pracę. Nie mogę już dłużej... ręce mi drżą...

— Mój uczeń, Tom Wills, odprowadzi panią do domu. Taka śliczna i miła dziewczyna nie powinna późno chodzić sama po mieście.

Detektyw zadzwonił. Tom Wills zjawił się natychmiast i z wielką radością przyjął polecenie.

— Ale wracaj szybko, mój drogi. Będę miał dla ciebie jeszcze dzisiaj pracę.

Kiedy pozostał sam, zapalił nieodłączną fajkę i mierząc pokój wielkimi krokami, szeptał do siebie:

— To niesprawiedliwe! Ta dziewczyna zasługuje na lepszy los... Ten łajdak najpierw zostawia ją przez długi czas bez wiadomości, później wraca do Londynu jako bogaty spadkobierca i wówczas udaje, że jej nie zna!

Ale na Jowisza! Ja sam się tym zajmę! Sam porozmawiam z tym Titchburnem. Biedne dziecko nie ma ojca, który by się za nią ujął. Wobec tego ja to zrobię...

— Kto tam? Proszę! Proszę wejść do wszystkich diabłów!

Drzwi otworzyły się powoli i ukazała się w nich nędznie ubrana kobieta. Na twarzy jej malowała się troska i bieda. Przystanąła przy drzwiach, nie mając odwagi wejść do środka.

— Czego sobie pani życzy? — zapytał detektyw, utkwivszy swój przenikliwy wzrok w twarzy niespodziewanego gościa.

— Przepraszam bardzo, czy to pan jest tym sławnym detektywem, Harry Dicksonem?

— Czy sławnym? Nie wiem. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Proszę powiedzieć, co panią do mnie sprowadza. Tylko szczerze i otwarcie.

— Chodzi mi o człowieka, który nazywa się Patrick Scott. Przed siedmiu laty spowodował on ruinę naszego przedsiębiorstwa. Mój mąż nie przeżył tego! Zostałam sama z czworgiem drobnych dzieci. Ach, mr Dickson, pan sobie nie wyobraża tej nędzy, tych kłopotów...

Biedna kobieta nie mogła mówić dalej. Załkała głośno.

— Proszę dalej — rzekł detektyw, zmuszając gościa, aby usiadł. — Niech pani nie płacze... Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, a może będę mógł panu pomóc... Jak się pani nazywa?

— Moje nazwisko brzmi: Elisabeth Mulbery. Jeszcze siedem lat temu byłam zupełnie szczęśliwa. Mój mąż był rzeźnikiem i miał piękny sklep na Howard-Street. Pracowaliśmy oboje i wiodło się nam znakomicie. Mieliliśmy pomocnika, młodego Irlandczyka, przystojnego chłopca, nazwiskiem Patrick Scott. Mój mąż załatwiał sam wszystkie transakcje, związane z zakupem towaru w Irlandii. Pewnego razu, tuż przed wyjazdem, zaziębł się tak silnie, że musiał zostać w domu i położyć się do łóżka. Posłał wobec tego w zastępstwie swego pomocnika, powierzając mu 800 funtów, cały nasz ówczesny majątek.

Patrick Scott zabrał pieniądze, obiecując załatwić jak najlepiej powierzoną mu misję i... nie pokazał się więcej. Nie pojechał wcale do Irlandii. Policja stwierdziła, że udał się do Liverpoolu, wsiadł na statek i odjechał do Ameryki. Mąż mój tak się tym przejął, że zachorował ciężko. W rok po tym, pochowałam go.

Zjawili się wierzyciele, sprzedali nasze przedsiębiorstwo i zostawili mnie bez grosza z czworgiem dzieci. Wynajęłam w Whitechapel małe mieszkanie i zarabiam na życie szyciem. Myślałam o tym, że Patrick wróci, ale nie bardzo w to wierzyłam. A tymczasem, zdaje mi się, że tak się stało... Wczoraj wieczór szłam sobie przez Green-Street, niosąc ze sobą naprawioną bieliznę, gdy nagle usłyszałam, że ktoś mnie woła. Przyspieszyłam kroku. Myślałam, że to któryś z wierzycieli. Ale przechodzień dogonił mnie i wtedy stwierdziłam, że nie omyliłam się. Był to stary Jakób Candell, ten który przejął nasz sklep.

— To szczęście, że pani spotykam, mrs Mulbery. Czy wie pani, kogo widziałem wczoraj w Liverpoolu?... Dam sobie głowę uciąć, że to był Patrick Scott!

— Boże drogi! — krzyknęłam tak tak głośno, że przechodnie zaczęli zwracać na mnie uwagę. Jakób Candel poszedł ze mną kilka kroków i mówił dalej:

— Będzie pani mogła odzyskać swoje pieniądze. Nie mogłem się omylić, to był napewno on. I musiał się bardzo z bogacić w Ameryce.

Opowiem o wszystkim dokładnie:

Pojechałem do Liverpoolu — mówił Candel — aby odebrać transport bekonów z Chicago. Oznajmiono mi, że towar znajduje się na statku „Britania”. Wobec tego udałem się do portu i przypadkiem byłem świadkiem wysiadania pasażerów.

Uwagę moją zwrócił wysoki, przystojny mężczyzna, bardzo elegancko ubrany. W chwili, kiedy mnie mijał, wypadła mu z ręki wielka, jasna walizka. Schylił się, aby ją podnieść, ale ja uprzedziłem go. Ręce nasze spotkały się na walizce i wtedy spostrzegłem, że brak mu środkowego palca u lewej ręki.

Podziękował mi za pomoc i znikł w tłumie pasażerów. Ja zaś pozostałem na miejscu zaintrygowany...

Gdzie ja widziałem tę twarz? Skąd znam ten głos? Byłem przekonany, że znam tego człowieka. Nagle krzyknąłem głośno. Przechodzący obok mnie marynarz pomyślał, że oszalałem. Przypomniałem sobie pewien wypadek, który, jak widać, mocno wrył mi się w pamięć!

Nie wiem, czy pani sobie przypomina, że któregoś dnia przyszedłem do was do sklepu na sąsiedzka rozmówkę. Za ladą stał Patrick Scott i zajęty był krajaniem mięsa. W pewnym momencie usłyszeliśmy przejmujący krzyk. Lewa ręka Patricka ociekła krwią. Przez nieuwagę obciął sobie środkowy palec.

Teraz stało się dla mnie jasne, że eleganckim podróżnym był nie kto inny, jak właśnie Patrick Scott, oszust, który was zrujnował.

Biedna kobieta umilkła.

Harry Dickson zmarszczył czoło, rozmyślając intensywnie.

— I co dalej?

— Od tego czasu minęło osiem dni... Myślałam sobie, że jeżeli Patrick Scott rzeczywiście powrócił do Londynu bogaty jak Krezus i że skoro nasze pieniądze przyniosły mu szczęście, to nie zapomni on o rodzinie, która wtrącił w nieszczęście. Sądziłam, że zechce naprawić wyrządzone nam krzywdy.

— Myli się pani. Jeżeli kiedyś poszczęści się takiemu lajdakowi, przede wszystkim będzie się starał zapomnieć zupełnie o przeszłości. Ale tym razem ja mu na to nie pozwolę!

— Powiedziano mi, m'r Dickson, że pan jest jedynym człowiekiem, który potrafi odnaleźć Patricka Scotta między milionami mieszkańców Anglii.

To też uzbroidłam się w odwagę i przyszłam, aby panu powiedzieć: „Jeżeli ma pan odrobinę litości dla mnie i dla moich dzieci, niech mi pan pomoże odzyskać moje pieniądze! Nie mogę panu przyrzec wynagrodzenia, ale jeżeli...”

— Proszę posłuchać — przerwał detektyw. — Jeżeli jeszcze raz wspomni pani o tym, będę musiał prosić o opuszczenie tego mieszkania. Rozumie pani? Tén, który panią do mnie skierował, na pe-

wno powiedział jej, że Harry Dickson nie bierze nic z góry... A jeżeli przychodzi do mnie biedna wdowa, tak, jak pani, nie przyjmuję w ogóle wynagrodzenia.

Zajmę się odszukaniem tego lajdaka Scotta. Ponieważ jestem pewny, że mi się to uda, daję pani zaliczkę z tej sumy, którą mu odbierzemy.

— Proszę, oto banknot dziesięciofuntowy!...

Biedna kobietaomal się nie rzuciła do nóg swemu dobroczyńcy.

— Nie zatrzymuję pani dłużej. Dam pani znać, gdy będzie trzeba. Proszę mi podać swój adres.

— Whit Chapel, River Street 13.

— Dziękuję. Do zobaczenia.

Mrs Mulbery odeszła, zalewając się łzami i ob-sypując Dicksona tysiącami błogosławieństw.

— Nareszcie! — odsapnął detektyw.

— Znowu wizyta?! Kogo tam niesie? Proszę wejść!

Rewelacyjne rękawiczki

W chwili, gdy Harry Dickson wstawał z fotelu, drzwi otworzyły się raptownie.

Do pokoju wszedł wysoki, dobrze ubrany i wybitnie przystojny mężczyzna.

— Z kim mam przyjemność? — zapytał detektyw.

— Jestem Artur Titchburn. Niezmiernie się cieszę z poznania najsłynniejszego detektywa — odpowiedział młody bankier, wyciągając do detektywa obie dłonie w jasnych, złotych rękawiczkach.

Harry Dickson uściskał te ręce z serdecznością, której nigdy prawie nie okazywał obcym. Uścisk wypadł trochę niezręcznie, gdyż detektyw miał wrażenie, że dotknął tylko końca palców lewej ręki.

W tej samej chwili pomyślał:

— Zdaje mi się, że środkowy palec lewej ręki wypchany jest watą. Hm, trzeba zwrócić na to uwagę...

Rozmowa między Arturem Titchburnem a Harry Dicksonem nie trwała długo, ale miała wielkie znaczenie.

Młody bankier opowiedział detektywowi o swej przeszłości.

Przeżył niejedno, mimo, że był dziedzicem milionowej fortuny. Przez dziewięć lat przebywał na obczyźnie i borykał się z kłopotami, których nie oszczędziło mu życie. Postanowił z bogacić się i przyłączył się w Klondyke do poszukiwaczy złota. Ale i tam mu się nie powiodło. Żył w ciężkich warunkach. Pewnego dnia dowiedział się, że ojciec umarł i nie wydziedziczył go, jak uprzednio sądził. To też natychmiast powrócił do Europy. Kiedy przybył wreszcie do Londynu, do domu, w którym się urodził, gdzie spędził najlepsze chwile swojego życia, ogarnęły go wspomnienia przeżytych tu chwil. Przypominał sobie swoją pierwszą miłość, Nelly, córkę ogrodnika.

— Co się z nią stało? Czy poślubiła kogoś? Czy też żyje w biedzie i boryka się z nędzą? Ta ostatnia hipoteza mogła być słuszna, gdyż dowiedziałem się, że mój ojciec wyrzucił po prostu ogrodnika na bruk.

Harry Dickson z łatwością mógłby odpowiedzieć na te pytania swego gościa.

Minęło bowiem zaledwie pół godziny, kiedy dziewczyna wstała z krzesła, na którym siedział teraz Artur Titchburn.

Detektyw wiedział dobrze, ile wycierpiała biedna rodzina w związku z tymi wydarzeniami. Zda-

wał sobie sprawę, że tylko energia, zdolności i pracowitość młodej dziewczyny uwolniły jej matkę od ciężkiej fizycznej pracy. Ale wolał na razie zachować milczenie...

— Co zamierza pan uczynić? — zwrócił się do bankiera. — Z pewnością chce pan odszukać obiekt swojej miłości i spełnić wobec niej swój obowiązek.

— Nie, mr Dickson, przeciwnie... Jeżeli pan chce wiedzieć, to... nie chciałbym wcale spotkać się z tą dziewczyną. Zestarzałem się, bowiem minęło od tego czasu tyle lat... Zrozumiałem, że to był tylko przelotny flirt. Jestem teraz dyrektorem banku „Titchburn and Co”. Nie wypada, abym pojął za żonę córkę ogrodnika... Tym bardziej, że mam zupełnie inne plany...

— Inne plany? — powtórzył detektyw, myśląc jednocześnie o tym, jak łatwo nędznik usiłuje pozbyć się swoich obowiązków.

— Zresztą — dodał Artur — nie chcę zupełnie pozbawić Nelly pomocy. Zawdzięczam jej przecież niezapomniane chwile... Dlatego zwracam się do pana... Mr Dickson, czy zechce pan dowiedzieć się, gdzie znajduje się obecnie Nelly Miller?

Jeżeli ją pan odnajdzie, ofiaruje jej pan w moim imieniu 500 funtów w zamian za to, że nigdy nie będzie usiłowała mnie widzieć.

Harry Dickson przymknął oczy, aby Artur nie dostrzegł w nich pogardę.

— Nie zajmuję się wprawdzie takimi sprawami — odpowiedział — ale tym razem podejmę się tej misji ze względu na tę biedną dziewczynę. Nelly Miller zapewne nie wie o pana powrocie do Londynu?

— Myślę, że nie wie... W jaki sposób mogłaby się dowiedzieć?

— To nie jest znów tak niemożliwe... Bardzo często dzienniki publikują listy pasażerów, przybywających z Ameryki. Możliwe, że dziewczyna znalazła pańskie nazwisko w gazecie!

Nie wrócił pan chyba pod fałszywym nazwiskiem?

— Oczywiście, że nie. Po cóż miałbym to robić?

— Zdarza się to często, aby uniknąć ciekawości reporterów — chłodno odparł detektyw. — Ja sam dowiedziałem się, że wylądował pan dziesięć dni temu w Liverpoolu. Przyjechał pan okrętem Gunard Line „Britania”.

— Zgadza się! — odparł Titchburn. — Ale nie wykluczone jest, że Nelly nie przegląda z taką, jak pan, uwagą, pasażerskich list. Zresztą, gdyby nawet wiedziała o moim powrocie, nie mogłaby się ze mną skomunikować. Wydałem wyraźne polecenie w domu, aby nie wpuszczać jej pod żadnym pretekstem.

— O... widzę, że potrafi pan radykalnie postępować!

— Nauczyłem się tego w Ameryce...

Mówiąc to bankier wstał, sięgnął po kapelusz i powtórzył:

— Przeznaczam pięćset funtów dla Nelly Miller. Pieniądze są w depozycie u mojego adwokata, Duffielda. Po otrzymaniu ich dziewczyna podpisze mały dokumencik. Liczę na pana, mr Dickson!

— Przepraszam, chwileczkę jeszcze... Jeżeli pan pozwoli, zanotuję sobie adres i nazwisko tego adwokata.

Usiadł przy biurku i wziął pióro.

— A więc Duffield... doskonale... Adres znajduje w książce telefonicznej...

— Do widzenia, mr Dickson — zawołał bankier, lewą ręką opierając się na biurku, a prawą wyciągając do detektywa.

— Bardzo miło mi będzie zobaczyć pana wkrótce... Mam nadzieję, że uda mi się zdobyć dla pana ciekawe wiadomości... To nie będzie trudne... Ale, co ja zrobiłem... jakże mi przykro... Być tak niezręcznym. Wylałem panu przecież cały kalendarz atramentu na nową rękawiczkę!...

— To rzeczywiście przykre... Muszę złożyć jeszcze kilka wizyt i...

— Postaram się to zaraz naprawić — przerwał detektyw. — Mój uczeń przyniesie panu z pobliskiego magazynu nową parę. Te może pan zdjąć. Tom!

Tom Wills wszedł do pokoju i otrzymał rozkaz przyniesienia nowych rękawiczek.

— Pan będzie łaskaw podać rozmiar i kolor.

— Mogą być takie same jak te, które noszę — roześmiał się bankier i ściągnął rękawiczkę, podał Tomowi. Tego chciał Harry Dickson. Spojrzał z ukosa na lewą rękę gościa. Nie mylił się. Dłoń była pozbawiona środkowego palca.

Idylla o smutnym zakończeniu

Powrót Artura Titchburna z Ameryki i objęcie przezeń kierownictwa banku rozczarowało do niego wielu ludzi. Oczekiwano go z niecierpliwością. Obiecywano sobie wiele ze względu na jego młode siły i energię. Dotychczas dyrektorem był stary kasjer Nestor Dickens, człowiek o niezwykłej dobroci i nieskałanej uczciwości.

Urzednicy narzekali na niego, gdyż surowszy był oł samego właściciela.

Ale młody dziedzic w roli szefa okazał się znacznie gorszy.

Porywczy i brutalny, wymagał od personelu jak największego wysiłku, za jak najmniejszym wynagrodzeniem, bez słowa zachęty, lub uznania dla czyichś zasług.

Minęły cztery tygodnie.

Wielu urzędników, nie mogąc znieść niemiłej atmosfery, opuściło swoje placówki, reszta z trudem przyzwyczajała się do nowych obyczajów.

Najbardziej kłopotliwa była sytuacja byłego dyrektora. Dotychczas był on samodzielnym panem, a przed tym prawą ręką zmarłego bankiera. W dużej mierze przedsiębiorstwo jemu właśnie zawdzięczało swój rozwój. Ucieszyła go wieść o powrocie Artura, gdyż miał już sześćdziesiąt lat i postanowił odpocząć po przekazaniu wszystkiego w młode, silne ręce.

Ale okazało się, że niełatwo zdobyć sobie zasłużony spokój. Nestor Dickens uporządkował idealnie księgi, tak, aby następca łatwo zorientował się w stanie swojego majątku.

Mimo to, Artur od pierwszego dnia krytykował wszystkie rachunki, które mu przynosił stary kasjer.

Ganił każde posunięcie byłego dyrektora i dawał mu jasno do zrozumienia, że nie podoba mu się dotychczasowa gospodarka.

Początkowo Dickens nie zauważył tego.

Stary Titchburn powierzał mu miliony. Cieszył się jego całkowitym zaufaniem. Kasjer nie mógł sobie nawet wyobrazić, aby syn tamtego człowieka mógł go o coś podejrzewać.

Ale nie czuł się dobrze w obecności Artura.

— To dziwne, jak pobyt na obczyźnie może zmienić człowieka. Ten nowy szef nie podoba mi się wcale — myślał w głębi ducha.

W tym momencie zadzwonił telefon. Wzywano b. kasjera do gabinetu mr. Titchburna.

— Pan chciał ze mną mówić, panie dyrektorze. Słucham.

Twarz Artura Titchburna zdradzała nieopanowaną złość.

— Nie rozumiem zupełnie pana rachunków — zawołał. — Czynny stan majątku, który przypada mi w udziale po ojcu, jest według mego szacunku o wiele większy, niż pan to podaje.

— Nie, to jest zupełnie wykluczone. Proszę raz jeszcze sprawdzić wszystkie księgi: ze mną, a przekonana się pan, że błęd...

— Dziękuję bardzo — przerwał brutalnie bankier. — Naturalnie, jeżeli pan będzie interpretował te rachunki, to będzie miał pan rację. Ale dość mam tego. Zwróć się do zaprzysiężonego eksperta. Niech on rozjaśni tę gmatwaninę!

Starzec cofnął się z godnością. Twarz mu zbladła.

— Chce pan przez to powiedzieć, że nie ma pan zaufania do mojej buchalterii?

— To się okazało! — krzyknął Artur, wzruszając ramionami. — Wszystko jest możliwe, kiedy obcy gospodarują i nie są przez nikogo pilnowani... Robią wówczas to, co im najwygodniejsze. Liczył pan na to, że nigdy się nie zjawie i dlatego...

— Ani słowa więcej, mr Titchburn! Nie zniosę dłużej tych podejrzeń! Żądam eksperta! Przekona się pan, że nikt nie skrzywdził pana ani o jednego penny! Boże Wielki! Kto śmie zarzucić mi cokolwiek, mnie, który tak wiernie służył pańskiemu ojcu przez trzydzieście osiem lat i cieszył się jego bezwzględny zaufaniem!

— Zapomina pan, z kim pan mówi! — krzyknął Artur.

— Nie, nie zapomniałem... Ale nie jest pan więcej moim szefem! Nie będę pracował tutaj ani chwili dłużej! Za moją służbę należy mi się zabezpieczenie na stare lata. Ale i tego się zrzekam! Mojego dobrego imienia nie uda się panu zbrukać! To jedno wyniosę z tego domu, mr Titchburn! Odchodzi natychmiast.

Mówiąc to Dickens odwrócił się i znikł za drzwiami.

— Stary osioł! — mruknął bankier. — Jestem szczęśliwy, że go się nareszcie pozbyłem. Ciągłe chodził za mną i węszył. Wydawało mi się, jakby się zastanawiał: „czy to on, czy nie on?“ Niech idzie do diabła!

W kwadrans później Flora wpadła do gabinetu starego kasjera.

— Czy to prawda, co słyszałam, stary, drogi przyjacielu? Chcesz odejść? Opuścić nas?

— Tak, Floro, na zawsze! — odparł starzec głucho, powstrzymując siłą woli łzy, cisnąc mu się do oczu. — Nowy dyrektor życzysz sobie tego! Nie chcę doczekać takiego dnia, aby mnie oskarżono o nieuczciwość! Umarłbym ze wstydu!

W tym momencie drzwi otworzyły się i na progu ukazał się młody, wysoki mężczyzna o ujmującej powierzchowności.

Na widok Flory płomień radości rozświetlił jego twarz.

— Co za szczęście, że cię spotykam! Z pewnością przyszedł tu z tego samego, co i ja powodu. Cóż się stało, mr Dickens? Dowiedziałem się, że zrezygnował pan z pracy u nas! To niemożliwe! Co się stanie z przedsiębiorstwem, kiedy pana zabraknie?

— Będzie je prowadził inny! — odparł Dickens głosem, drżącym z oburzenia i rozpaczy.

I opowiedział młodemu człowiekowi przebieg całego zajścia. Flora przysłuchiwała się, przysunawszy się do młodego człowieka i spoglądała nań rozkochanym wzrokiem. Kochała go od roku.

Luis Bourgueil był urzędnikiem w banku jej ojca, który od dawna zauważył ich wzajemną sympatię. Lubił on bardzo młodego Francuza i często zapraszał go do domu na partyjkę szachów. Niestety, nie zwierzyli mu się ze swych uczuć. Stary Titchburn na pewno zgodziłby się po przeżytych doświadczeniach na to małżeństwo, chociaż Louis nie miał grosza, a Flora była milionerka. Przed bratem dziewczyna również ukrywała swe uczucia.

Młody urzędnik był oburzony, wysłuchawszy relacji kasjera.

— Floro, musisz naprawić krzywdę, która spotkała naszego przyjaciela. Idź do Artura, wytłumacz mu, czym mr Dickens był dla twojego ojca, dla banku i dla nas wszystkich i zmusz go do tego, aby go przeprosił.

— Już idę — zawołała Flora. — Nie, kochany staruszkule, nie odejdziesz od nas! Nie pozwolimy na to! Rozmówię się z bratem! Ucałuj mnie szybko, Louis! Przed papą Dickensem nie mamy przecież tajemnic.

W momencie, kiedy Flora znajdowała się w ramionach ukochanego, drzwi otworzyły się nagle i wszedł Artur Titchburn.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął ostro. — Moja siostra flirtuje z urzędnikami! I to wszystko w gabinecie mr Dickensa! Jak widzę, spisek jest groźniejszy, niż przypuszczałem, gdyż bierze w nim udział moja rodzona siostra!

Flora zbladła, a potem zaczerwieniła się gwałtownie.

— Mogę ci zaraz wyjaśnić, co mnie łączy z tym panem. Louis Bourgueil jest moim narzeczonym. Dotychczas nieoficjalnym... Ale od dziś to się zmieni! Zresztą nie o tym chciałam z tobą mówić w tej chwili. Postąpiłeś niegodnie w stosunku do mr Dickensa. Proszę cię, przeproś go!

— A ja cię proszę, abyś natychmiast opuściła ten pokój! — ryknął bankier.

Tutaj ja jestem panem i zakazuje ci się mieszać do moich spraw! Mr Dickens opuści nasz bank. Złożył swoją rezygnację, a ja przyjąłem ją. Co do tego pana — dodał, obrzucając pogardliwym wzrokiem młodego urzędnika — zwałniam go również, za to, że myślał, iż zdobędzie ciebie i twoje pieniądze.

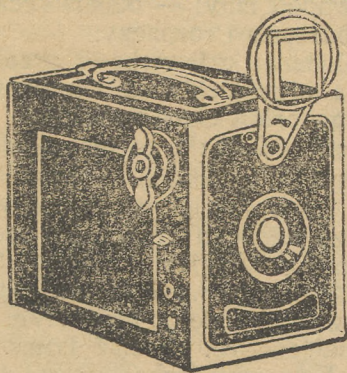
— Nie mógł mi pan zrobić większej przyjemności! I tak nie pozostałbym tu chwili dłużej. Należy się panu jednak policzek za podłe podejrzania, które dotyczą mojego stosunku do miss Flory. Pojedynkować się z panem również nie będę, gdyż jestem oficerem rezerwy i nie uważam pana za człowieka honoru.

— Łajdaku!... — krzyknął Artur.

— Zapłacisz mi za to!

I obaj mężczyźni rzucili się na siebie. Dickens i Flora z trudem ich rozdzielili. Artur chwycił młodą dziewczynę za ramię i krzyknął, wypychając za drzwi:

— Nigdy go nie zobaczysz! Już ja cię przypominuję. Teraz ja jestem głową rodziny! Musisz mnie słuchać! A wy obaj wynoście się stąd jak najprędzej.



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektywnie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8,95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona 1.
skr. poczt. 802 H. D.

— Ustępuję przed siłą! — krzyknęła Flora. — Ale pamiętaj, Louis, że cię kocham i że dotrzymam danego ci przyrzeczenia!

Znikła za drzwiami razem z bratem.

Stary kasjer i Louis Bourgueil spoglądali za nią ze smutkiem. Wreszcie Dickens rzekł.

— To prawdziwe nieszczęście, że on powrócił z Ameryki. Byłoby o wiele lepiej, żeby nigdy już nie ujrzał Londynu. Kiedy wyjeżdżał, był przyzwyczajonym człowiekiem. Teraz jest nikczemnikiem.

Urzędnik włamywacz

— Wiec to pan reflektuje na posadę w moim banku?

Pytanie to zadał Artur Titchburn mężczyźni wysokiego wzrostu, którego wygląd wskazywał na to, że wiele lat życia spędził nad książkami, sumując od rana do wieczora długie szeregi cyfr.

— Tak jest, panie dyrektorze. Nazywam się Thomas Sylwester i przez siedem lat byłem głównym buchalterem w firmie „Greenfiels and Co” w Edynburgu. Proszę, oto są moje świadectwa.

Bankier obrzucił przybysza uważnym spojrzeniem. Ten człowiek podobał mu się. Przejrzał podane sobie papiery. Świadectwa przemawiały na jego korzyść. Firma „Greenfiels and Co” była bardzo popularna w świecie handlowym. Człowiek, który tam pracował, powinien być dobrym urzędnikiem.

— Proszę, niech pan siada, mr Sylwester! Jestem zdecydowany ofiarować panu posadę. Zaznaczam jednak, że wymagam od swych urzędników bezwzględnej wierności, uczciwości i oddania.

— Może pani na mnie polegać, mr Titchburn. Traktuję tę posadę bardzo poważnie i chciałbym jak najdłużej tu pozostać.

— Jakie są pańskie wymagania?

— Proszę je samemu określić.

Artur wymienił sumę, która urzędnik natychmiast zaakceptował.

— Od kiedy mam zacząć pracę?

— Jak najwcześniej, o ile to możliwe... Odprawiłem dwóch urzędników, którzy mi się nie podobali.

— Stawię się wobec tego jutro punktualnie o ósmej rano — przyrzekł Sylwester. Po czym wstał, uklonił się nisko i wyszedł.

Artur Titchburn już w kilka dni później mógł ocenić wartość nowej siły biurowej. Zaangażowany urzędnik podobał mu się. Pracował jak maszyna, przychodził do biura pierwszy, a wychodził ostatni. Poza tym okazywał szefowi jak największy szacunek. Tym go sobie najbardziej zjednał.

Pod koniec tygodnia mr Sylwester zjawił się w gabinecie dyrektora i oznajmił mu, że znalazł w księgach pewne niedociągnięcia i błędy, które trzeba usunąć.

— Jeżeli pan pozwoli, mr Titchburn, popracuję nad tym poza biurowymi godzinami.

— Oczywiście, drogi przyjacielu. Gotów jestem nawet wynagrodzić panu czas, który pan poświęci!

— Ależ, mr Titchburn, nie ze względu na osobistą korzyść zwróciłem panu na to uwagę. Pozwoli mi pan zatem pozostać w biurze po zamknięciu banku?

— Tak jest! Proszę wziąć klucz od woźnego i w nocy zamknąć się na wszelki wypadek. Korzystam z okazji, aby zawiadomić pana, że bardzo mnie cieszy jego zainteresowanie sprawami banku i że przypuszczam, iż pozostanie pan u nas długo.

— To jest moim najszczerzym życzeniem, mr Titchburn!

Już tego samego wieczora mr Sylwester nie opuścił banku razem ze swymi kolegami. Siedział pochylony nad pulpitem, sumując długie, nieskończone szeregi cyfr.

Trwało to kilka dni z rzędu.

Któregoś wieczoru, tak jak zwykle, urzędnik wodził niezrużenie po papierze piórem. Artur Titchburn był w teatrze.

Kiedy zegar wydzwonił godzinę dziesiątą, mr Sylwester podniósł nagle głowę z nad ksiąg i zaczął nasłuchiwać.

— Zupełnie spokojnie — szepnął — będę mógł zabrać się do pracy. Ale ostrożnie! Titchburn mógł mnie oszukać, mówiąc, że idzie do teatru. Wprawdzie Tom dał mi przed godziną znak, że dyrektor rzeczywiście wyszedł, ale ostrożność nie zawadzi. Mały miał go odprowadzić do samego teatru. Mimo wszystko, trzeba uważać!...

I rzekomy Thomas Sylwester, w którym nasi czytelnicy na pewno poznali już detektywa Harry Dicksona, wyciągnął z kieszeni rewolwer i nabił go starannie. Bezszelestnie udał się teraz w kierunku gabinetu dyrektora. Po chwili znalazł się przed drzwiami. Były zamknięte. Ale czy istniały na całym świecie takie drzwi, których Harry Dickson nie potrafiłby otworzyć?

To też nie trwało długo i detektyw dostał się do środka.

Księżycowa poświata rozjaśniała obszerny pokój, wysłany grubym, perskim dywanem. Harry Dickson orientował się tu doskonale. Za każdą wizytą w gabinecie swego szefa badał on każdy szczegół drobniutko. Wiedział, że biurko posiada dwie wielkie szuflady. Kasa zaś znajduje się na przeciw-

ległej ścianie. Była to solidna, żelazna kasa, pochodząca z jednej z najbardziej znanych fabryk krajowych.

— Obejrzyjmy sobie najpierw biurko — mruknął do siebie detektyw, zabierając się do otwierania skomplikowanych zamków.

Zawartość szuflad rozczerowała go. Znalazł tam tylko wielką ilość bezwartościowych papierów.

Zamknął je z powrotem i podszedł do żelaznej kasy. Poglądził ją wierzchem dłoni i szepnął:

— Teraz się do ciebie zabiorę.

Na drzwiach kasy znajdowała się płyta, wypełniona wszystkimi literami alfabetu. Detektyw domyślił się momentalnie, że otworzyć ją można tylko za pomocą pewnych kombinacji z tych liter.

Harry Dickson zastanawiał się przez długą chwilę.

Jak brzmi to magiczne słowo?

— Spróbujemy starej metody... — pomyślał. — Zwykle tak bywa, że złoczyńca nie może się uwolnić od swego prawdziwego „ja“. Może te drzwi otworzą się przy kombinacji „Patrick“ lub „Scot“?

Ułożmy najpierw imię.

I zabrał się do manewrowania przy płycie. Nakercił „P“, potem „a“ i tak aż do „K“.

Potem wyjął z kieszeni klucz, który już dawno wziął z fabryki w tym celu.

Włożył go do zamka i po chwili stwierdził z zadowoleniem, że mechanizm funkcjonuje.

Okazało się, że jego przewidywania były słuszne. Ciężka ściana obróciła się powoli. Detektyw ujrzał najpierw mnóstwo monet złotych i srebrnych, potem portfel wypełniony banknotami na sumę tyśiąca funtów. Ale nie to było celem jego poszukiwań.

Harry Dickson chciał znaleźć coś innego. Otworzył tę kasę, myśląc, że odkryje może jakiś ślad, który go naprowadzi na przeszłość człowieka, który został panem tego domu.

Pokręcił głową, rozczerowany.

— Czyżbym się trudził na próżno? Kombinacja liter „Patrick“, która otwiera tę kasę, jest dla mnie niezbytą wskazówką. Ale to niestety, za mało, aby oddać tego lotra w ręce sprawiedliwości. Muszę udowodnić, że Artur Titchburn i Patrick Scott to jeden i ten sam człowiek. Ponadto muszę dowieść, że ten rzeźnik zamordował bankiera. Jestem przeknany, że musieli się poznać w Ameryce. Tam na obczyźnie szybko zaprzyjaźnili się ze sobą. Wówczas Titchburn zwierzył się opryszkowi ze swej przeszłości.

— Hm... a to co? Czyżby za tą ścianką ukryty był sekretny schowek?

Detektyw wyciągnął rękę i dotknął wypolerowanej powierzchni.

— Poszukajmy teraz ukrytej spreżyny, która poruszy tę płytę.

Mówiąc to, zapalił elektryczną latarkę i oświetlił dokładnie ścianę. Na czarnej powierzchni nie było żadnego guziczka.

Detektyw zastanowił się chwilę i nagle roześmiał się wesoło.

— Jakże mogłem zapomnieć, przecież ta kasa jest systemu „Dirban et Cie“ z Sheffield. W tej fabryce robią te sekretne schowki z tyłu.

Po chwili detektyw odkrył na zewnętrznej powierzchni kasy, przy ścianie, wypukłość wielkości ziarenka grochu. Nacisnął ją. Ukazał się niewielki otwór. Dickson rozjaśnił go światłem swej latarki.

— Nóż! — krzyknął nagle, wyciągając na zewnątrz wielki nóż o drewnianej rękojeści i szerokim, ostrym ostrzu.

— To jest ten słynny rzeźnicki nóż! — szepnął do siebie detektyw. — Patrick Scott przywiózł go ze sobą z Ameryki. Czy znów myślał o jakimś zabójstwie? Trzeba sobie dokładnie obejrzeć ostrze.

Wziął nóż, usiadł przy stole i zaczął go badać przez szkło powiększające.

— Jest jakaś mała ciemna plama. Może to być krew ludzka. I... włos... jasny... to nie jest na pewno sierść zwierzęcia!

Powrócił do skrytki i przejrzał ją skrupulatnie. Pierwszym przedmiotem, który mu wpadł w ręce, był srebrny zegarek ze skromną dewizką.

Harry Dickson otworzył pokrywkę i przeczytał: „Menu ukochanemu synowi Arturowi na pamiątkę od ojca“.

— To mu było potrzebne dla udowodnienia swojej identyczności. Sprawdźmy, o której zegarek się zatrzymał... druga minut piętnaście...

Czy to wszystko, nie ma tam nic więcej? Nie... są jakieś papiery i dokumenty.

Detektyw wyciągnął gruby plik papierów i zaniosł do stołu. Na wierzchu leżała kartka, zapisana ołówkiem.

Na środku narysowano wielki punkt, opatrzony napisem „Sacramento“, obok biała długa kreska, oznaczająca bieg rzeki o nazwie Hakon. W pobliżu rzeki wyrysowane były góry, na jednej z nich krzyż i napis: „schronisko“.

— To bardzo proste — pomyślał Dickson — autor tej mapki dowiedział, że idąc z Sacramento brzegiem rzeki Hakon, można dojść do gór Apaszów. W tych górach znajduje się schronisko dla poszukiwaczy złota. Tam musiał zdarzyć się wypadek, który mocno wrył się w duszę Artura Titchburna, a raczej Patricka Scotta.

Może znajduje się w tych stronach żyła złota? A może jakieś silne przeżycie, które autor chciał upamiętnić? Na wszelki wypadek skopiję ten dokument.

Trwało to zaledwie kilka minut, po czym detektyw zebrał papiery i włożył je z powrotem do kasetki. Pozamykał starannie wszystko i zabierał się do odejścia.

Wtem... ktoś położył rękę na jego ramieniu i krzyknął zdławionym z przerażenia głosem:

— Na pomoc! Złodziej!

Harry Dickson momentalnie pochwycił za rewolwer i odwrócił się.

To nie był Artur Titchburn. Przed nim, trzęsąc się ze strachu, stała blada, jak płótno, siostra bankiera.

Flora obrzuciła rzekomego złodzieja spojrzeniem, pełnym pogardy.

— A więc to jest człowiek, któremu ufa mój brat. W dobrych rękach umieścił swój majątek. Przyłapałam pana w momencie, kiedy szperał pan w cudzej kasie!

— Jakie to szczęście, panno Titchburn, że wypadek pozwolił mi porozmawiać z panią bez świadków. Mam pani coś bardzo ważnego do zakomunikowania.

— Co mnie może obchodzić, o czym zechce ze mną mówić jakiś złodziej — krzyknęła Flora oburzona.

— Ale przypuszczam, że Harry Dicksona wysłucha pani — odparł detektyw, zdejmując perukę i odrywając sztuczne wasy.

CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić w sobie zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magji, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustró magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jaju. Jajo w butelce. Spiewająca fiaszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie które płaci się przy odbiorze. Adresuj: **Kazimierz Kotodziejczyk**, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt 802 H.D.



NIE ZWLEKAJ SZYBKO ZAMAWIAJ!
UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowszą wszechświatową książkę p. t. „Sztuka wróżenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.

Młoda dziewczyna zadrżała, nie wierząc własnym oczom.

— Bóg pana, proszę mnie nie oszukiwać. Więc pan jest rzeczywiście słynnym detektywem, Harry Dicksonem?

— Tak, panie.

— I przebywał pan w naszym biurze pod fałszywym nazwiskiem?

— Przez osiem dni grałem rolę urzędnika Thomasa Sylwestra, człowieka skromnego i uczciwego, który zdobył zaufanie Artura Titchburna.

— A na co ta cała komedia?

— Aby uchronić panią od grożącego jej nieszczęścia.

— Mnie?

— Muszę, niestety, wyznać pani szczerą prawdę. Człowiek, który wrócił z Ameryki i podał się za pani brata, jest w rzeczywistości groźnym przestępcą.

Drżenie przebiegło ciało dziewczyny. Prerażona nie mogła ze siebie wydobyć słowa.

— Mam do czynienia z niezwykle przebiegłym osobnikiem. Trzeba go zdemaskować. Długi, przewlekły proces sądowy nie byłby moim zdaniem wskazany. Postaram się zdobyć jasne, niezbitte dowody, że ten łajdak zajmuje tu miejsce kogoś, kogo z pewnością zamordował.

— Bóg mój! Co pan opowiada...

— Mam wrażenie, że prawdziwy Artur Titchburn niestety, nie żyje. Pewne poszlaki naprowadzają mnie na myśl, że został on zamordowany w chatce poszukiwaczy złota w górach Apaszów. Zabójca, pozbawiwszy go dokumentów, uciekł do Europy i podał się za bogatego spadkobiercę.

— Teraz, po tym co usłyszałam, zwierzę się panu, że od razu wyczułam w tym człowieku coś obcego. Wydawało mi się, że długi pobyt na obczyźnie tak zmienił mego brata. Teraz rozumiem wszystko. Bardzo często zadziwiał mnie swym postępowaniem.

— Zauważyła pani coś niezwykłego? Proszę mi zatem coś opowiedzieć. Widzę, że jest pani zdolną i spostrzegawczą osobą.

— Oóż muszę panu powiedzieć, że zauważyłam u brata dziwny brak pamięci. Wczoraj naprzykład, przeglądaliśmy album naszych rodzinnych fotografii. Oglądaliśmy portret jakiegoś starszego pana. Wtedy Artur zawołał:

Ach drogi ojciec, rozpoznaję szlachetne rysy swojej twarzy!

— Ależ, Arturze, co ty mówisz? — odpowiedziałam. — To przecież Mr. Stone, nasz domowy lekarz!

— Rzeczywiście... masz rację siostrzyczko... Ale to niezwykle, jaki on podobny do naszego ojca!

— Czy dokonała pani więcej takich spostrzeżeń?

— Owszem. Zaraz panu opowiem. Mój brat posiadał kiedyś, jeszcze przed wyjazdem do Ameryki psa, którego bardzo lubił. Nazywał się on Flock.

Artur dowiedział się prawdopodobnie o istnieniu tego psa, ale nie znał dobrze szczegółów i usiłował je zrecznie ze mnie wydobyć:

— Co się stało z tym biednym Flockiem? Pewnie już zdechł.

— Przecież go sam zabiłeś — odpowiadałam zdumiona. — Nie chciałeś go zostawić, a zabrać ze sobą nie mogłeś!

— To prawda! Zabiłem go! To dziwne, że tak źle pamiętam wydarzenia z przed lat! A wszystko to dlatego, że cierpiałem tak wiele!

Ale przebiegły jest ten oszust — zawołał Harry Dickson. — Nie dorósł jednak do tego, aby ze mną zmierzyć.

— A wreszcie dodała Flora, uważam, że jego stosunek do mnie jest zupełnie niewłaściwy.

Twarz młodej dziewczyny pokryła się jaskrawym rumieńcem.

— To lotr! — pomyślał Harry Dickson...

Po chwili zapytał:

— A czy nie zwróciła pani uwagi na fakt, że brak mu środkowego palca u lewej ręki? Czy brat pani również go nie posiadał?

— Oczywiście, że nie. Ale Artur opowiedział mi, że stracił palec, podczas polowania na Dzikim Zachodzie. To brzmiało dość prawdopodobnie.

— Ale prawda jest zupełnie inna. Ten reżnik sam odciął sobie palec w jatce na Howard - street! Wiem o nim znacznie więcej, niż on by sobie tego życzył.

— Panno Floro, czy mogę uważać panią za swego sprzymierzeńca?

— Naturalnie. Mr. Dickson. Będę panu nieskończenie wdzięczna, jeżeli zdemaskuje pan tego przestępcę! On pozbawił mnie tego, co było dla mnie straciło dla mnie urok!

— To się zmieni wkrótce! Ale będę potrzebował pani pomocy! Niech pani dobrze obserwuje i notuje sobie w pamięci, każdy jego fałszywy krok. Ale ostrożnie, niezwykle ostrożnie, aby nie wzbudzić żadnych podjężeń.

— Proszę na mnie polegać, Mr. Dickson. Nie zdradzę się z niczym.

— A więc dobranoc, panno Floro!

Młoda dziewczyna wyciągnęła rękę do detektywa.

— Nie ma pan pojęcia ile zmartwień mi pan zaoszczędził. Teraz mam zupełnie inne samopoczucie, kiedy wiem, że ten zły człowiek nie jest moim bratem, a tylko przebiegłym kryminalistą!

Nie będę musiała dłużej wstydzić się jego postępowania! Dziś będę spać spokojnie, kiedy dowiedziałam się, że mam takiego obrońcę, jak pan, Mr. Dickson! Dobranoc!

Detektyw pozostał sam.

— Muszę się pilnie zająć tą sprawą, choćby ze względu na tę biedną dziewczynę, która ten brutal

tyranizuje. A teraz w drogę! Będę miał jeszcze robotę tej nocy.

Thomas Sylwester zabrał kapelusz, płaszcz, zgaśli światło i zamknawszy za sobą drzwi, wyszedł na ulicę.

W pewnej chwili zbliżył się do niego jakiś młody człowiek i szepnął:

— Artur Titchburn wyszedł z teatru zaraz po pierwszym akcie. Wsiadł w autobus i pojechał na Whitechapel. Wsiadł przed hotelem „Emigrantów“, należącym do Boba Tuckera.

Harry Dickson zatrzymał pierwszą przejeżdżającą taksówkę.

Na jego znak żebrak wślizgnął się do środka niepostrzeżenie.

— Hotel „Emigrantów“? — myślał detektyw. — Cóż on tam może mieć do roboty? To bardzo ciekawe. Może go jeszcze tam zastane.

Betsy

Taksówka mknęła ulicami Londynu wśród mroków nocy.

W międzyczasie Harry Dickson zmienił swoją powierzchowność. Wszystkie prawie ubrania słynnego detektywa były obustronne. Przewrócone na lewą stronę nabierały zupełnie innego wyglądu. W tej chwili również skromny przyzwoity strój urzędnika bankowego, został w jednej chwili zamieniony na brudne, podarte łachmany portowego włóczęgi.

Aby utrzymać charakter, Harry Dickson zrobił kilka dziur w spodniach, pocałował buki i wysmarował twarz węglem.

Nosowi poświęcił również chwilę uwagi, malując go na kolor jaskrawej czerwieni. Gdyby go ktoś teraz ujrzał, nie miałby żadnych złudzeń, że ma przed sobą nałogowego pijaka.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed hotelem, detektyw już był gotów. Rzucił pieniądze szoferowi i znikł. Tom Wills wdał się z nim w krótką pogawędkę dla odwrócenia uwagi.

Kiedy zauważył, że Harry Dickson skręca w wąską boczną uliczkę, rzucił ostatni żart szoferowi i podążył za mistrzem. Pamiętał o rozkazie, który brzmiał następująco:

— Staraj się nie stracić mnie z oczu, bądź zawsze w pobliżu, ale bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi.

Uliczka nazywała się River - street. Otaczał ją szereg niskich, starych napół rozwalonych domków, ciągnących się wzdłuż Tamizy. Mieszkali tutaj sami nędzarze. W centrum znajdował się hotel „Emigrantów“, cieszący się jaknajgorszą opinią. Był to mały dwupiętrowy budynek.

Detektyw zamienił z Tomem kilka cichych słów po czym znikł w słabo oświetlonym wejściu.

Gdy znalazł się w środku, zaczął zataczać się na nogach, nucąc głośno ochryplym głosem.

Pchnął jakieś drzwi na parterze i znalazł się w sali restauracyjnej.

Przez chwilę trudno mu było znieść obrzydliwą atmosferę tego wnętrza. Pokój wypełniony był gestymi kłębamii dymu, odorem nafty i wyziewami potu ludzkiego. Publiczność była taka, jak we wszystkich spelunkach w Whitechapel. Kilku pijaków o podejrzanym wyglądzie, dziewczki publiczne i sutenerzy.

Panowała tu piekielna wrzawa. Dziewczyny krzyczały, mężczyźni rechotali dziko, przekleństwa unosiły się w powietrzu...

Detektyw, chwając się na nogach, dotarł do środka sali i krzyknął przerywanym przez czkawkę głosem:

— Ludzie, opamiętajcie się! Żałujcie swoich grzechów! Jutro nastąpi koniec świata!

Słowa te wywołały salwę śmiechu.

— Co to za jeden? — posypały się pytania. — Nigdy nie widziałem go w Whitechapel.

— Nigdzie nie brak pijaków! — rzucił jakiś drab o odpychającej powierzchowności.

— Wynoś się stąd, pijany psie!

— Ludzie opamiętajcie się! — ryczał dalej Harry Dickson. — Grożą wam piekielne męki! Zwłaszcza wam, kobietom..., gdyż grzeszycie conajmniej siedem razy dziennie, jak mówi prorok. Co... siedem razy, pewnie sto razy... po siedem razy — powtarzam.

Nagle mężczyzna, który przedtem zabierał głos, podniósł się z groźną miną, stanął za detektywem i pchnął go z całej siły.

Harry Dickson wyleciał jak z procy i wylądował na podłodze obok stolika, który zajmowała samorzutnie jakaś dziewczyna. Twarz jej musiała być kiedyś bardzo piękna, ale urode zataił ślady wysiępku i hulaszczego życia.

— Ha! Ha! Ha! — śmiały się wkoło kobiety.

— Patrzcie Betsy rzeźniczka nareszcie ma klienta! Podobna ci się! Dziewczyna podniosła się gwałtownie. Harry Dickson tak dobrze grał swoją rolę, że zwał się jej do nóg, jak worek.

— Wynoś mi się w tej chwili! — ryknęła Betsy. Nie chcę mieć nic z tobą wspólnego! Jesteś obrzydliwy!

Ale detektyw siedział teraz na ziemi, skrzyżowawszy nogi pod sobą i nie reagował weale na obelgę.

Wtem drzwi sali otworzyły się nagle i na progu ukazał się młody żebrak.

— Pójdiesz ty wreszcie do domu, stary idiocie!

— krzyknął idąc w kierunku Harry Dicksona. — Znów się upileś! Tym razem nie ujdzie ci to na sucho!

Ta mała scena rozbawiła klientelę restauracji.

— Czy to twój ojciec? — zapytał brutal. — Udał ci się, nie ma co!

— Jesteście z Whitechapel? — zapytał drugi.

— Dotychczas mieszkaliśmy w Liverpoolu. W Londynie jesteśmy dopiero od ośmiu dni. Proszę, pomóżcie mi postawić starego na nogi. Dziękuję!... Ruszaj się, stary pijaku! Czy myślisz, że będę cie na plecach taszczył do domu!

Harry Dickson, nie wypadając z roli, dał się wynieść Tomowi za drzwi. Nikt się o nich nie troszczył.

— Gdzie jest właściciel hotelu? — zapytał cicho Harry Dickson. Nie widziałeś go w pobliżu?

— Owszem widziałem go. Znajduje się w swoim pokoju, którego okno wychodzi na podwórze. Jest u niego jakiś gość. O ile się nie mylę, Artur Titchburn we własnej osobie.

Harry Dickson zastanawiał się przez chwilę, po czym zwrócił się do Toma:

— Nie wiesz, czy jest kominek w tym pokoju?

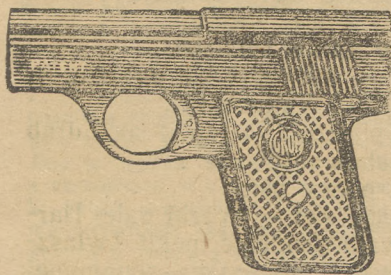
— Tak... wielki, antyczny...

— To świetnie. Chodźmy naprzód!

Tom Wills przyzwyczajony był ślepo słuchać rozkazów mistrza. Pobiegł więc bez żadnych dyskusyj za detektywem, który wdarał się przedko po schodach w górę.

Po chwili obaj dostali się na strych, a stamtąd przez małe okienko na dach.

Sensacyjna nowość 1938!! Automat-pistolet „GROM“



Fason belgijski Kal. 6-cio min. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna ochrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta lśniącym bakelitem! Waga 200 gr. długość 10 cm. szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena tylko zł. 6.95, 2 sztuki 13.50. — Setka naboju syst. „Flobert“

Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I. skrz. poczt. 802 H. D. Uwaga! Wystrzegaj się taniej tandety, polecanej przez pokatnych sprzedawców, którzy przyrzekają magazynki, naboje, futerały i nie dodają. Zamawiając u nas, be dziecie zadowoleni.



Harry Dickson zbliżył się do komina i obejrzał go dokładnie.

— Musi się on napewno łączyć, według moich obliczeń z pokojem Boba. Ty, Tomie, obejmij z powrotem swą placówkę na dole i nie spuszczał z oka Artura Titchburna, gdyby wyszedł.

— A ty, mistrzu?

— Ja odbędę małą podróż rozrywkową — rozześmiał się detektyw, wskazując na komin.

— Boże drogi, przecież może się panu stać coś złego. — zaniepokoił się Tom.

— Nie martw się, mój drogi. Zdarza mi się to nie po raz pierwszy. Wewnątrz są zawsze szczeble, które zwykle służą kominiarzom podczas ich pracy. A teraz idź już!...

Tom Wills nie mógł jednak odejść. Ujrzał jak jego mistrz bez chwili wahania wskakuje na komin i niknie w jego czarnej czeluści.

★

Detektyw nie mylił się. Stopy jego dotknęły szczebli i bez przeszkód mogli teraz zsunąć się na dół. Ale na wysokości pierwszego piętra schodów już, niestety, nie było. Harry Dickson nie wahał się ani chwili. Bez namysłu skoczył w próżnię. Gdy znalazł się wreszcie u celu usłyszał głośny głos bankiera:

— Co się stało, Bob? Czy słyszał pan ten huk w kominiku?

— To pewnie wiatr tak hula — odparł właściciel hotelu. — Albo kamień spadł z dachu. To nie ma znaczenia, sir, możemy rozmawiać swobodnie.

Detektyw znieruchomiał.

Nie stracił ani jednego słowa z rozmowy, która się toczyła.

Odezwał się znów głos Titchburna:

— A więc ten człowiek przybył tutaj wczoraj?

— Była już noc, kiedy się zjawił. Powiedział, że dopiero co wysiadł z pociągu, przybywającego z Southampton. Wygląd miał bardzo mizerny. Dlatego też z góry zażądałem pieniędzy za nocleg.

— I zapłacił?

— Tak, ale wydawało mi się, że to jego ostatnie sześć pensów. Ja nie nie ryzykowałem. Gdyby się okazało, że nie ma więcej, wyrzuciłbym go nazajutrz za drzwi. Ale stało się inaczej. Późno już było, kiedy kładłem się spać, gdy nagle usłyszałem

krzyki z jego pokoju. Myślałem, że mordują kogoś. Otworzyłem drzwi i ujrzałem tego typa w łóżku całego we krwi. Najpierw pomyślałem, że ten galgan przyszedł do mnie, aby popełnić samobójstwo. Rozzłościłem się strasznie. Wiem, ile to zaraz kłopotu, dochodzeń, śledztwa. Ale okazało się, że żył i rzekł do mnie słabym głosem:

— Pomóżcie mi na miłość boską! Otworzyła mi się stara rana i strasznie cierpię! Jeżeli mnie uratujecie, możecie zarobić pięćset funtów.

— Pan rozumie, że kiedy to usłyszałem, pomyślałem, że chłopak bredzi. Ale mimo to, przywołałem posługacza, kazałem mu przynieść jodynę i bandażę i ponieważ byłem kiedyś żołnierzem kolumnalnym, opatrzyłem mu pięknie ranę.

Słowa te musiały wywrzeć wrażenie na bankierze, gdyż Harry Dickson usłyszał, że poruszył się niespokojnie na krześle i zapytał nagle:

— Czy miał on głęboką ranę na piersi?

— Skąd pan wie o tym, zapytał Bob zdziwiony. Zgadzi pan! Okropne uderzenie nożem. Jeszcze centymetr, a uszkodziłoby serce.

— I co dalej? Jak się to stało, że ten człowiek powierzył panu napisanie listu do wiadomej osoby?

— Zupełnie zwyczajnie... Kiedy zrobiłem mu opatrunek i pokrzepiłem szklanką dobrego wina, kazał wyjść posługaczowi i zwrócił się do mnie:

— Niech pan weźmie pióro, atrament i papier. Podyktuję list i dostanie pan od osoby, której pan to pismo dostarczy, 500 funtów.

Sprawa była dziwna. Ale nic przecież nie ryzykowałem. Napisałem to, o co mnie prosił...

— Treść znam, — przerwał bankier. — Adresowany był do panny Flory Titchburn. Zaraz wyjaśnię dlaczego ten nieborak podaje się za jej brata. Sprawa ma pozory prawdy. Stary Titchburn zapomniał się kiedyś z córką swojego ogrodnika. Owocem tego był syn. Bankier wysłał matkę z dzieckiem do Ameryki, obdarowawszy większą sumą pieniędzy. Teraz ten człowiek wrócił, aby zrobić użytek ze swych, wątpliwych zreszta, praw. Pan rozumie, że jest on szalony. Jestem adwokatem rodziny Titchburn i panna Flora przyszła do mnie z listem, prosząc abym z panem w tej sprawie porozmawiał.

— Może pan zarobić te pięćset funtów!... Ale jeden warunek.

— Jaki?

— Czy jesteśmy napewno sami? Nikt nie podsłuchuje? — wyszeptał Titchburn.

— Nikt. Może pan mówić śmiało. Dla zdobycia takiej sumy jestem gotów na wszystko!

Bankier zbliżył się do hotelarza i rzekł cicho: — Dostanie pan 500 funtów, 50 już jako zaliczkę, jeżeli ten gość umrze w tym hotelu!

— Co też pan mówi?!... — podskoczył Turkey. Chce pan abym zabił człowieka? Nie ma mowy o tym!

— Niech się pan zastanowi! Pięćset funtów to ładny pieniądz — rzekł Artur, wyciągając portfel, wypchnany banknotami. — Proszę... oto zaliczka!

Hotelarz drżał, jak w febrze. Nie mógł oderwać wzroku od kolorowych papierków. Ręce wyciągały się po nie bezwiednie.

— Nie... nie zrobię tego... nie mogę — jęczał zdławionym głosem. — Niech pan już idzie i przestanie mnie kusić. Gdyby ktoś inny miał to zrobić, to... może przymknąłbym oczy.

— Inny?... Doskonale — podchwycił bankier. Jeżeli pan mi pomoże, załatwi to ktoś inny! Słuchaj,

przyjacielu. Zaproponuję ci coś. Oby jest tak osłabiony, że przez kilka dni z pewnością nie opuści łóżka!

— Musi poleżeć conajmniej osiem dni.

— Biedny człowiek! Trzeba się nim zaopiekować. Lituję się nad nim i dlatego przyślę mu jutro lekarza. Najlepiej będzie jeżeli pan się nim nie będzie interesował. Ten doktor wyleczy chorego ze wszystkich jego cierpień. Zrozumiano?

— W zupełności!

Ohydna umowa została zawarta.

Bob dostał zaliczkę, a bankier dodał:

— Jutro o dziesiątej zjawi się tu lekarz. Pan poczeka na niego przed bramą i natychmiast zaprowadzi do chorego. Potem pozostawi go pan samego...

— A reszta pieniędzy?

— Lekarz wręczy je panu do rąk własnych.

Nie pozwoli mu pan opuścić hotelu bez tego.

— Czy ma pan zaufanie do tego doktora?

— Wierzę mu, jak sobie samemu — odparł Titchburn, uśmiechając się.

Hotelarz roześmiał się również i zawołał, klepiąc gościa poufale po ramieniu:

— Rozumiem! Ten doktor, to pan!

— Zabierz lapy! — warknął bankier. — I wyprowadź mnie stąd teraz jak najprędzej. Czy nie ma jakiegoś bocznego wyjścia?

— A reszta pieniędzy?

— Lekarz wręczy je panu do rąk własnych. Nie pozwoli mu pan opuścić hotelu bez tego.

— Nie, tylko przez salę. Ale nie ma się czego obawiać, nikt nie zwróci na pana uwagi!

Bankier otulił się płaszczem, nasunął głęboko kapelusz i ruszył przed siebie.

Aby dotrzeć do drzwi musiał minąć stolik, przy którym samotnie siedziała dziewczyna.

W pewnym momencie spojrzała ona na niego i podniosła się nagle, jak poruszona sprężyna. Oczy jej rozszerzyły się...

Wyciągnęła ręce, tamując przejście bankierowi i krzyknęła:

— Patrick! Patrick Scott! Umarli wstają z grobów! To przez ciebie upadłam tak nisko! Ale teraz cie nie puszcze!

— Odsuń się, wariatko! — krzyknął brutalnie Artur Titchburn. — Czego chce ode mnie ta kobieta? Nie znam wcale tej dziewczki!

I wymierzył silny cios w piersi dziewczyny, która zachwiała się i upadła na ziemię. Skorzystał z tego i szybko się ulotnił.

— Nie pozwólcie mu odejść! Trzymajcie go! — krzyczała Betsy. — Mam z nim rachunki do wyrównania...

Przez niego zostałam dziewczką... porzucił mnie chora i bez grosza... Ale teraz nie pozwolę mu znów uciec! Pomóż mi, Bobie... Ach, ty lajdaku, pewnie knujesz coś razem z tym łotrem! Tym razem będzie was to drogo kosztowało!

— Oszalałaś, Betsy! Hej Jim! Pomóż mi wyrzucić tę wywłokę za drzwi!

Dziewczyna szamotała się wściekle, chcąc wyrwać się napastnikom.

Po chwili jednak uległa przemocy i wypchnięta za drzwi, upadła na bruk uliczny.

Leżała chwilę nieprzytomna, gdy wtem zbliżył się do niej jakiś żebrak i pomógł jej wstać.

— Chodź, biedaczko, odprowadzę cię do domu!

Dołączył się do tej osobliwej pary pijak, który niedawno wzbudził swym zachowaniem wesołość wśród klientów hotelu „Emigrantów”.

Po chwili cała trójka znikła w bocznej ulicy.

Tajemnica schroniska

W speluncie na Whitechapel nocne wydarzenie zostało szybko zapomniane. Takie historie były tam zresztą na porządku dziennym. Klientela znalazła ciekawsze tematy, do czego nie mało przyczynił się właściciel, pilnie napełniając szklanki.

Zycie w hotelu „Emigrantów” toczyło się zwykłym trybem.

Około pierwszej w nocy jakaś ciemna sylwetka zjawiała się na schodach.

Niepostrzeżenie dostała się na korytarz drugiego piętra, zatrzymała się i zapaliła małą kieszonkową latarkę. W jej migotliwym świetle ukazała się męska twarz o niezwykle ujmującym wyglądzie. Przybyły rozglądał się uważnie, przysunął się do jakichś drzwi i zaczął nasłuchiwać! Wydawał się bardzo przejęty cichą skargą i jękami, które dochodziły z wnętrza.

— To tutaj — szepnął mężczyzna. — Znajdę go za tymi drzwiami. Klucz do tajemnicy trzymam w swoich rękach. Teraz dowiem się wreszcie, czy moje domysły były słuszne?

Spojrzał na schody, aby się upewnić, że nikt nie nadchodzi i pocichu pchnął drzwi. Zgasił latarkę i jedynie światło z ulicy rozświetlało pokój.

Widok był przejmujący.

Na nędznym i brudnym posłaniu spał jakiś człowiek. Twarz jego, o barwie wosku, naznaczona była śladami cierpienia. Włosy w nieładzie opadały na poduszkę. Na czole perlily się wielkie krople potu.

Na skrzyp otwieranych drzwi nieszczęśliwy jęknął cicho. Myślał prawdopodobnie, że zjawił się posługacz lub właściciel, to też nie otwierając (czy, poprosił o wodę.

Mężczyzna zbliżył się do łóżka chorego, nachylił się nad nim i rzekł z naciskiem:

— Dostanie pan wszystko, czego pan sobie będzie życzył, Arturze Titchburn! Cierpienia pana dobiegają końca!

Ciężkie powieki chorego dźwignęły się w górę z trudnością i odsłoniły oczy, w których malowała się obawa, pomieszana z nadzieją.

— Kto pan jest i skąd pan zna moje nazwisko?

— Proszę o nic nie pytać! Na razie trzeba być ostrożnym! Zamknę drzwi i wyjaśnię panu część prawdy. Jestem detektyw Harry Dickson, i pierwszy pozdrawiam pana na angielskiej ziemi, ciesząc się z pana powrotu do ojczyzny. Dodam jeszcze, że czekają na pana z niecierpliwością wierne serca.

W mare słów detektywa, gorączkowe podniecenie opanowywało chorego.

— Pan jest Harry Dicksonem? Tym słynnym detektywem? A gdzie jest moja siostra, Flora? Czy nie otrzymała listu? Boże! jak ja cierpie!



— Niestety, list który pan wysłał, dostał się w niepewolane ręce. Przejął go loir, pana śmiertelny wróg.

— Mój nieprzyjaciel? Jest tylko jeden taki człowiek na świecie, jest nim..

— Patrick Scott! — dokończył za niego Harry Dickson.

— Boże Wszechmocny! Skąd pan to może wiedzieć. Zna pan człowieka, którego wspomnienie przyprowadza mnie o dreszcze grozy.

— Wiem o wszystkim, mr Titchburn. Ten człowiek chciał pana zamordować w schronisku poszukiwaczy złota w górach Apaszów, do których można się dostać z Sacramento, posuwając się wzdłuż biegu rzeki Hakon!

Chory zbladł śmiertelnie. Jego oczy rozszerzyło bezgraniczne zdumienie.

— Pan jest jasnowidzem, mr Dickson. Wszystko to zgadza się co do joty. Nie rozumiem tylko, co ten lajdak miał do mnie?

— Zaraz panu to wyjaśnię — przerwał mu detektyw. — Widocznie pan lekkomyślnie opowiedział mi o swojej przeszłości. Wtedy postanowił on pana zabić, zagrabić jego dokumenty, wrócić do Londynu i zawładnąć majątkiem, który pan odziedziczył.

— Teraz rozumiem — szepnął chory do siebie — To przekłete podobieństwo dało mu asumpt do popełnienia zbrodni!

Wielkie, ciężkie łzy spłynęły mu z oczu na wychudłe, zapadłe policzki.

— Ale teraz wszystko się zmieniło! Proszę się o nic nie niepokoić! W ciągu dwudziestu czterech godzin będzie pan u siebie, w domu swego ojca!

— Boże!... A czy ja dożyję ranka? Jestem tak słaby! Nie mówiac słowa, Harry Dickson wyciągnął z kieszeni butelkę doskonałego wina i kilka tabletek środka przeciwgorączkowego.

— To panu na pewno pomoże! Teraz sprawdź, czy bandażę są w porządku... Tak, są dobre.

Nie trzeba ich wcale ruszać. Wieczorem przyśle panu lekarza. Potem przeniesiemy pana do domu i zaopiekuje się panem jego siostra.

Na razie oddał się stać, ale niezadługo powrócił. Ale nie zostawił pana samego. Będzie ktoś czuwał. Detektyw zbliżył się do okna, otworzył je i gwizdnął. Po minucie zapukano cichutko do drzwi.

Detektyw otworzył, na progu stał Tom Wills.

— Widział cię kto?

— Nikt, absolutnie.

— Widzisz tego chorego, Tom? Zostań przy nim i broń go w razie potrzeby. Masz nabitą rewolwer?

— Tak jest, mistrzu!

— Gdyby było trzeba, użyj bron! Jeżeli zjawia się u pana, mr Titchburn, właściciel tego lokalu, niech go pan odprawi i powie, że nie mu nie potrzeba. —

— Jak odwdzięczę się panu za to wszystko, mr Dickson? Byłem już żgniecznie zrezygnowany.

— Nim odejdę, zachce mi pan jeszcze dokładnie zrekonstruować wydarzenia, które miały miejsce w Ameryce.

— Pan wie prawie wszystko. Pjechałem do Ameryki, aby stać się samodzielnym człowiekiem. Zależało mi na zdobyciu jakiegoś stanowiska, aby móc poślubić dziewczynę, którą kochałem.

— Nelly bardzo się ucieszy, jeżeli się o tym dowie...

— Nelly? Pan ją zna?

— Znam ją doskonale. Ta czarująca istota zasługuje na szczęście. I co dalej?

— Nie poszło mi łatwo. Przyłączyłem się do poszukiwaczy złota. Między nimi znajdował się miły, młody chłopak, nazwiskiem Patrick Scott. Jego podobieństwo do mnie było uderzające. Zaprzyjaźniliśmy się i nabraliśmy do siebie wzajemnie dużo zaufania. Połączyła nas tęsknota za utraconą ojczyzną i wspomnienia przeszłości. Opowiedziałem Patrickowi o swoich przeżyciach, pokazałem portfel z dowodami, które zawsze nosiłem przy sobie.

W naszych wędrowkach dotarliśmy do gór Apaszów. Któregoś dnia przenocowaliśmy w schronisku, a rano udaliśmy się na poszukiwania.

Nachylony nad ziemią, przesiewałem złotodajny piasek, gdy wtem otrzymałem w głowę potężny cios tępym narzędziem. Upadłem ogłuszony, a gdy otworzyłem oczy, ujrzałem nad sobą rękę Patricka Scotta, uzbrojona w wielki rzeźnicki nóż... Straciłem przytomność.

Kiedy ją odzyskałem, nadludzkim wysiłkiem przyczółkałem się do schroniska. Scott znikł. Zabrał mi wszystkie pieniądze, papiery i nawet mój srebrny zegarek, dar mego ojca.

Umarłbym na pewno, gdyby nie pomoc starego trapera, który przypadkiem zablakał się w te strony. Opatrzył moje rany i pielęgnował rnie. Po jakimś czasie wyzdrowiałem. Postanowiłem natychmiast powrócić do ojczyzny. Pomogli mi w tym zaci ni towarzysze. Pożyzyli mi na podróż, którą odbyłem w strasznych warunkach. Przybyłem wreszcie do Londynu. Moje zasoby pieniężne wyczerpały się. Nie miałem nawet na przyzwoity hotel. Zamieszkałem tutaj. W nocy rana mi się otworzyła. Hotelarz pomógł mi ją opatrzeć i od tego czasu leżę tu zupełnie samotny!

Teraz wie pan już wszystko. Błagam pana, mr. Dickson, niech się pan zajmie tym lajdakiem i pomoże mi odzyskać moje prawa.

Detektyw uściskał rękę chorego i pocieszył go:

— Proszę się już o nic nie martwić, Arturze Titchburn. Jutro zacznie się dla pana nowe życie!

Niebezpieczny lekarz

Nazajutrz wieczorem detektyw znów znalazł się w pokoju hotelu „Emigrantów”.

Stwierdził z zadowoleniem, że chory czuje się znacznie lepiej.

— Proszę posłuchać, mr Titchburn, zjawi się u pana lekarz. Niech pan udaje bardzo chorego. Ja sam się nim zajmę... Ten doktor będzie czyhał na pańskie życie... Ale ja będę czuwał.

— Znów zabójca? Czy to Patrick Scott go nasyła?

— Tak jest. Ale niech się pan nie obawia. Włos z głowy panu nie spadnie. Gdzie, u diabła można się schować w tym pokoju? Jest! Świetna szafa! Będzie tam dość miejsca, aby się ukryć. A ty, Tomie, wsuń się pod łóżko.

Dickson zamknął za sobą drzwi szafy.

W tej samej chwili usłyszeli kroki na schodach. Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł starszy pan z siwą brdą i złotymi binoklami.

— A więc to jest nasz chory! — zawołał, zbliżając się do łóżka.

Artur jęknął w odpowiedzi.

— Proszę pozwolić się zbadać. Przede wszystkim zdejmę stary opatrunek i założę nowy.

W pewnym momencie wzrok doktora oderwał się od chorego i przeniósł się na szafę.

Zadrżał i powieki mu zatrzepotały.

— Proszę mieć zaufanie do mnie, przyjacielu. Potrafię pana uratować. Jest pan w dobrych rękach.

Mówiąc to, doktor zbliżył się do szafy, zamknął ją nagle i schował klucz do kieszeni.

Tom Wills ujrzał to ze swej kryjówki.

Ogarnięty wściekłością, wyciągnął rewolwer i nie zdając sobie nawet sprawy z tego co czyni, nacisnął cyngiel.

Huknął strzał. Chybił celu, gdyż rzekomy doktor zdażył uciec z pokoju, zamknawszy za sobą z trzaskiem drzwi...

— Ośle patentowany! — ryknął Dickson. — Kto ci kazał strzelać! Otwórz natychmiast drzwi! Nie mamy chwili do stracenia!

Tom Wills błyskawicznie spełnił polecenie.

Harry Dickson wyskoczył z szafy, jak oszalały i wybiegł na schody, potrącając po drodze hotelarza, który przybiegł zwabiony hałasem.

W sekundę później był już na ulicy i wskakując do taksówki podał szoferowi adres położonej w pobliżu ulicy.

Wóz zatrzymał się przed odrapanym domkiem. Harry Dickson wysiadł i po chwili zjawił się znowu w towarzystwie nędznie ubranej kobiety. Zajął miejsce w maszynie i kazał jechać w jaknajszyszym tempie na Kensingtonroad.

— W ten sposób zdążę na miejsce przed jego przybyciem — pomyślał detektyw.

Auto zatrzymało się przed bankiem Titchburn and Co. Na spotkanie wchodzących wyszła Flora.

— Czy ten łotr jest w domu? — zapytał detektyw.

— Nie!

— Tym lepiej! Proszę nas zaraz zaprowadzić do jego pokoju!

Na górze Harry Dickson ukrył się razem ze swoją towarzyszką za grubą, jedwabną portiera.

W kilka chwil później, drzwi się raptownie otworzyły i do gabinetu wpadł, blady śmiertelnie, rzekomy Artur Titchburn.

Zbliżył się do drzwi kasy i począł wydobywać ukryte tam pieniądze.

— Uciekać! I to jaknajprędzej! Gonia mnie!... Jestem pewny... Ale mogę wynieść przynajmniej jakiś zysk z tej awantury!... — mruczał przez zęby.

Sprzącąc im z przed nosa te 5.000 funtów i zwięc jeszcze dziś wieczór z Londynu.

W tym momencie ktoś palnął rękę na jego ramieniu. Przed nim stał Harry Dickson.

— Aresztuję pana w imieniu prawa — zawołał detektyw. — Za późno na ucieczkę Patricku Stehit!

— Bezczelny człowieku! Jak pan śmie aresztować mnie, Artura Titchburna?

— Prawdziwy Titchburn znajduje się teraz w hotelu „Emigrantów”. Cierpi od rany, którą mu pan zadał, chcąc się go pozbyć na zawsze! Mnie pan nie okłamie. Pan jest Patrick Scott!

— Pan oszalał! — ryknął przestępca.

Harry Dickson odsunął portierę i ukazała się nędznie ubrana kobieta. Musiała być kiedyś ładna... Czas, choroba i występki poznały jej twarz hańbiącymi śladami.

Na jej widok bankier cofnął się przerażony.

— Poznaje pan tę kobietę? — zawołał król detektywów. — To jest twoja pierwsza ofiara, nędzniku!

— Betsy! — jęknął kryminalista.

— A więc poznałeś mnie wreszcie, Patricku Scott! Ty, któryś mnie unieszczęśliwił, zepchnął w błoto i nędzę! Przez ciebie zostałam, dziewczka uliczna.

— Poniesiesz karę za swoje zbrodnie! — rzekł Dickson. — Skradłeś pięćset funtów rzeźnikowi Mulbery. Usiłowałeś zamordować Artura Titchburna. Wróciłeś do Londynu i bezprawnie zawładnąłeś jego majątkiem i pozycją społeczną. W końcu dla ukoronowania swoich przestępstw po raz drugi usiłowałeś zamordować chorego i bezbronnego człowieka!

Mówiąc to Harry Dickson nałożył kajdanki na ręce zbrodniarza.

Rzekomy Artur Titchburn został skazany na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia.

Prawdziwy syn bankiera powrócił do zdrowia pod czułą opieką siostry i Nelly, jego przyszej żony.

Biedna Mrs. Mulbery, która Patrick Scott tak haniebnie okradł, otrzymała od rodzeństwa Titchburn nie tylko skradzione pieniądze, ale i stała zapomogę. Betsy dożyła szczęśliwych chwil. Harry Dickson zaś zdobył sobie przyjaźń serdeczną całej rodziny. W krótkim czasie otrzymał on zaproszenie na dwa śluby: Artura Titchburna z Nelly Miller i Louis Bourgeuil'a z Florą Titchburn.

Koniec.

Następny **Nr. 28 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 19-go lipca zawierać będzie przygodę p. t.

„KRWAWY KLEJNOT”
CENA 10 GR. CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|-------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 14. ŻYJĄCY BUDDA |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 15. WIDMO TUŁACZA |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 16. SKRADZIONY TESTAMENT |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 17. DUCH ŚWIATŁA |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 18. CZERWONA DAMA |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 19. MIASTO PIRATÓW |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 20. POSTRACH LONDYNU |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 21. Tajemnica Łodzi podwodnej |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“ | 22. NIEBIESKI BOCIAN |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 24. HAWAJSKI SZTYLET. |
| 12. „KAPIANKA OGNIĄ“ | 25. WOSKOWE JABŁKO |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 26. WIELKA GRA. |

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

10 gr.

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

szyt, stanowiący oddzielną całość

Cena

10 gr.

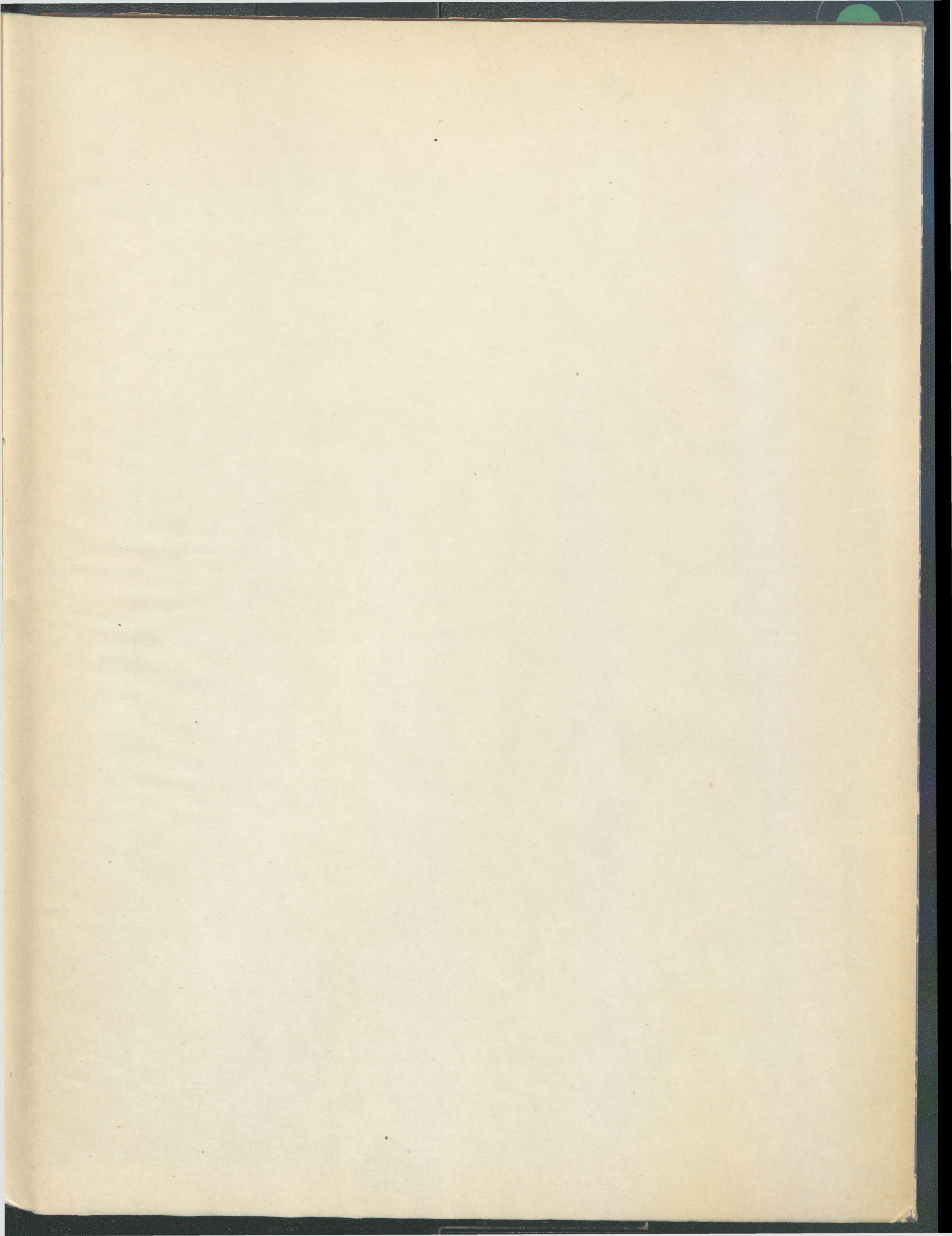
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

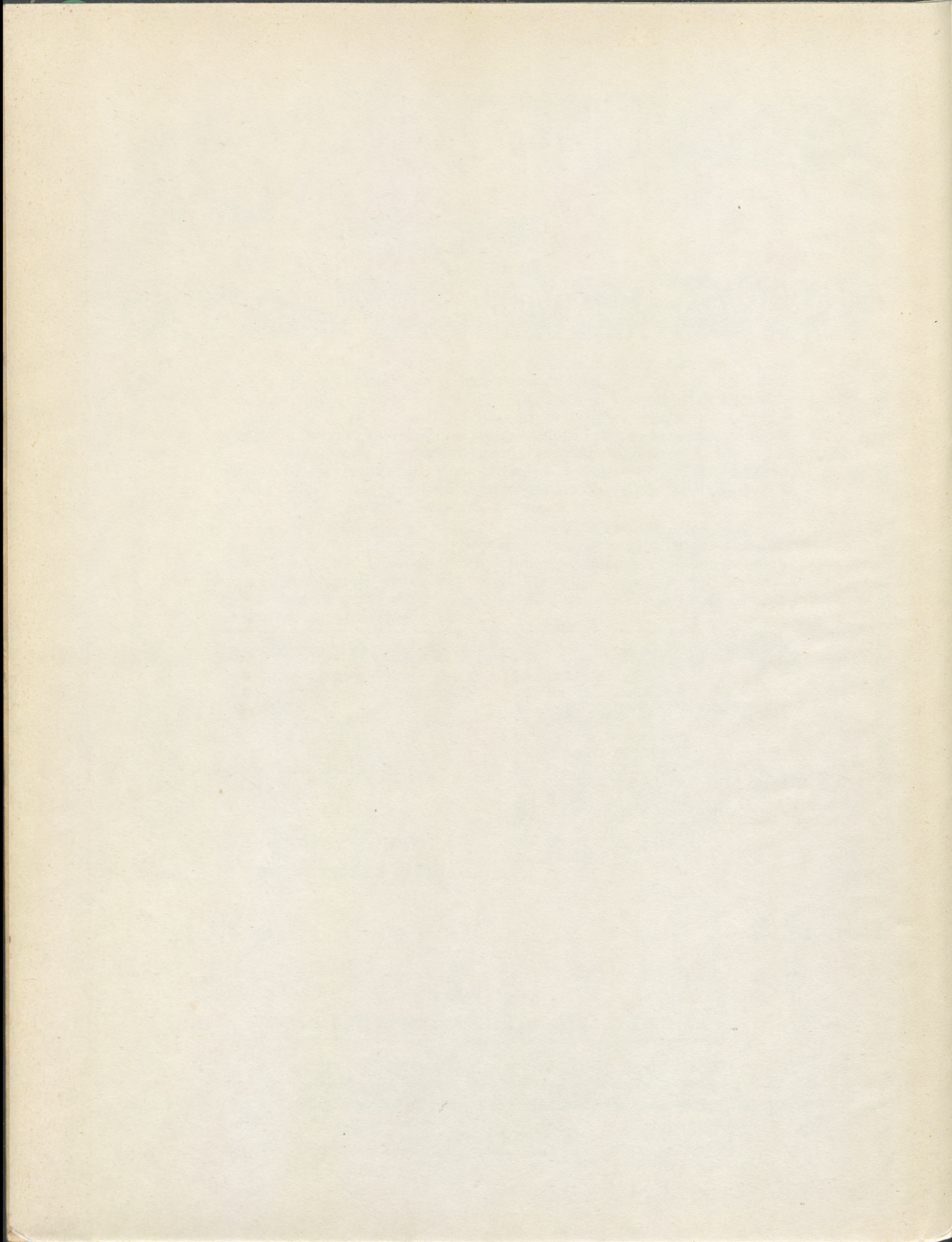
Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Konto PKO 68,148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 19, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

6595/38

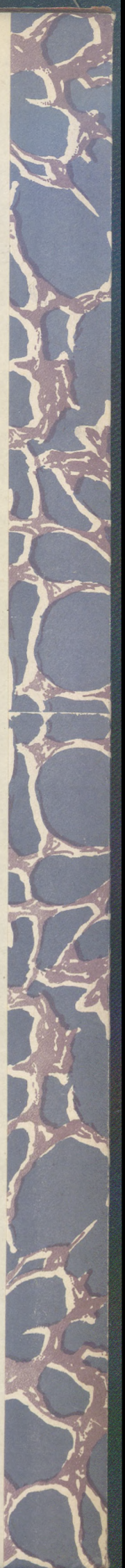




Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024366012





24j
623405

24

